

W numerze: ROMAN ŁOBODA *Czas „międzyłódzki”* • EWA NURCZYŃSKA *Czy za rok tak samo?* • JÓZEF POTĘGA *Z prochu powstałe...* • *Teatr i świat współczesny* • *Recenzje* • *Felietony* • *Zewsząd o wszystkim* • *Nowela kryminalna*

# odgósy



15 (751)  
9. IV. 1972 r.  
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

BOGDA MADEJ

## Dwunastu specjalistów i „Progar”

„Knot” wybudowano na Nowych Sadach. Tabliczka na bramie informuje, że mieści się tu PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO GARMAZERYJNE „PROGAR”, które od 1 października 1970 roku dostarcza klientom sałatki, paszteciki, zapiekanki, pieczone kurczęta, mrożone pierożki i to wszystko, czego wymieniać już nie będzie, a co w sklepach i stoiskach garmazeryjnych można kupić.

Data rozpoczęcia produkcji jest dla dalszych rozważań bardzo istotna i warto ją zapamiętać. A poza tym świadczy, że „Progar” to zakład nowy i nowoczesny. Tak przynajmniej mówiło się o nim w trakcie budowy. I tak powinno być. Tymczasem — użyję jednak brzydkiej nazwy — obiekt nie tylko przeczy tradycyjnym pojęciom o tym, jak powinno wyglądać coś nowego i nowoczesnego, ale zaskakuje też swoim niecodziennym zakończeniem procesu inwestycyjnego. Sprawa trafiła bowiem do prokuratury. I jest to chyba bardzo rzadki wypadek, kiedy późniejszy użytkownik zwraca się do organów ścigania z prośbą o odszukanie winnych.

1.

Fragment z pisma skierowanego 28 czerwca 1971 roku przez Łódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Handlowych Artykułami Spożywczymi i Przemysłu Gastronomicznego, któremu podlega „Progar”, do Prokuratury Wojewódzkiej dla m. Łodzi:

„Budynek oddany został z poważnymi wadami fizycznymi, które częściowo tylko zostały usunięte przez wykonawcę, a których łączny koszt usunięcia szacuje się minimalnie na 753.100 zł.

Usunięcie tych wad jest konieczne, ponieważ kontynuowanie produkcji w istniejącym budynku bez przeprowadzenia niezbędnych przeróbek grozi zamknięciem przedsiębiorstwa przez Inspekcję Pracy lub „Sanepid”.

Przedmiotowe wady i wynikające z nich szkody w mieniu państwowym obciążają projektanta, wykonawcę i inwestora zastępczego, kwalifikując się jako przestępstwo niegospodarności z art. 217 kk”.

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. W. Parys

KONRAD FREJDLICH

KSIĄŻKI PISARZY ŁÓDZKICH W R. 1971

## Wśród prozy

Wieloznaczność tytułu, jakim opatrzyłem mój artykuł o książkach opublikowanych przez pisarzy łódzkich w minionym, 1971 roku, budzić może skojarzenia pejoratywne. Słowo „proza” oznacza przecież nie tylko utwory pisane mową nie związaną. Oznacza ono także również często „rzeczy i sprawy codzienne, zwykłe; powszedność, codzienność, szarość”. Tym lepiej, choćby nawet określe-

nie, jakiego użyłem, przywodziło na myśl osławiony „mały realizm” lat sześćdziesiątych. A więc ten nurt współczesnej prozy, który z powagą i gorliwością średniowiecznych inkwizytorów tropił krytyka tamtego okresu.

Zadanie arcydzieła jest zrozumiałe, choć nie zawsze przecież jest to zadanie uczciwe. Świadczy o tym najlepiej historia naszej literatury minionego dziesięciolecia. Nie był to

zapewne okres najwyższego wzlotu, skoro nawet okrzykane przez krytykę ewenementy, okazują się dzisiaj najczęściej mistyfikacjami. Jeśli bowiem zgodzimy się, że zwłaszcza proza jest wykładnikiem momentu historycznego, a jej funkcją tego momentu uświadomienie, nie trudno wywnioskować, że inna literatura współcześnie powstać nie mogła. Nie mogąc więc pozwolić sobie na objęcie całokształtu rzeczywistości, uwaga pisarzy nakierowana została na detale i szczegóły. Nie był to zresztą proceder tak bez wyjątków jałowy, jak by to wynikało z inkwizytorskich opinii krytyki.

Jeśli więc nie muszę dziś popadać w ekstremy ani zastanawiać się, tym bardziej, ile też demonów mieszczą się na końcu szpilki, kiedy dokonuję wydawniczego przeglądu roku, mam obowiązek przedstawić tutaj, mimo wszystko, rachunek ilościowy. Jak też wielki był ten dwunastomiesięczny dorobek książkowy pisarzy łódzkich w dziedzinie prozy? Jak można określić sytuację łódzkiego środowiska literackiego na

podstawie dynamiki ruchu wydawniczego? A ponieważ rzecz tak nudną jak statystyka najlepiej załatwiać na samym początku, czynię to bez ociągania, ale też i bez zbytej wiary w sens podawania tych liczb.

Leży właśnie przede mną stos książek z kolorowymi grzbietami, na których wyłoczone są inicjały sześciu oficyn wydawniczych. Nie dysponując małym komputerkiem i polegając zaledwie na swej skromnej wiedzy arytmetycznej, dochodzę do wniosku, że jest tych książek siedemnaście\* w czym trzy wznowienia („Nie ma powrotu” Wiesława Jażdżyńskiego, „Cena miłości” Romana Łobody oraz „Magdalena w nocy” Tadeusza Papiera). W porównaniu z rokiem 1970 można powiedzieć o nieznacznym regresie ilościowym, był to bowiem rok rekordowy (25 pozycji prozatorskich). Ale i 17 tytułów to ilość niemała, zwłaszcza gdy uprzytomnimy sobie, że łódzki oddział ZLP zrzesza nieco ponad 50-ciu pisarzy. Świadczy to o nie słabnącej aktywności tego środowiska. Świadczy to jednocześnie o

przeniesieniu się ciężaru zainteresowań z prozy (Łódź organizuje corocznie Ogólnopolskie Festiwale Poezji) na prozę. Ścisłej zaś na powieść, szczególnie predestynowaną do pełniejszego, niż inne rodzaje literackie, opisu rzeczywistości. Ta dominacja najszerszej formuły wypowiedzi prozatorskiej (opowiadania, wspomnienia oraz eselista reprezentowane są zaledwie pojedynczymi tytułami) świadczy niewątpliwie, że pisarze nie uchylają się bynajmniej przed obowiązkami, jakie nakłada na nich nasza literacka tradycja. Było nią zawsze, co można znaleźć w każdym podręczniku, współuczestnictwo w życiu narodu poprzez kształtowanie jego świadomości. Jest to cecha, wyróżniająca naszą literaturę spośród literatur innych krajów.

W epoce romantyzmu i wcześniej zadanie to przyjmowała na siebie przede wszystkim poezja, od czasów Sienkiewicza po dziś, przede wszystkim proza. I pod tym względem

Dalszy ciąg na str. 4



## Zawszqd o wszystkim

### „Liga złotego koguta“

Przemówienie Edwarda Gierka — I sekretarza KC PZPR na inauguracyjnej sesji Sejmu VI kadencji, a następnego dnia exposé premiera Piotra Jaroszewicza zawierały fragmenty, odnoszące się do sytuacji międzynarodowej. Wynika z nich nasz optymizm co do rozwoju sytuacji w Europie i na całym świecie. Jego źródła — mimo całej złożoności sytuacji, nieprzewidywanych jeszcze trudności i oporów sił imperializmu — tkwią w umacnianiu się pokojowego kierunku rozstrzygnięcia spornych problemów, w korzystnym ewoluowaniu wydarzeń.

Przykładem rozwijania się takiej tendencji jest przede wszystkim Europa. Już niedaleka przyszłość może stworzyć warunki do pokojowej współpracy narodów Europy i zapewnienia im trwałego bezpieczeństwa. Front walki o to przebiega dziś przez NRF, a stawką tej walki jest, czy NRF będzie uczestniczyć w rozwoju pokojowych stosunków, czy też powróci do polityki zimnej wojny, co marzy się kołom militarystycznym.

„Opozycja w NRF — mówił w swym sejmowym przemówieniu Edward Gierka — wysuwając przeciwko ratyfikacji układów argument, że po ich ewentualnym obaleniu mogą być one negocjowane ponownie, świadomie wprowadza błąd opinię publiczną. Nasze stanowisko w tej kwestii jest jasne i niewzruszone: platformą normalizacji stosunków między Polską a Niemiecką Republiką Federalną mogą być tylko i wyłącznie układy, które zostały już podpisane. Ich odrzucenie byłoby równoznaczne z odrzuceniem normalizacji“.

Ratyfikacja układów leży obecnie przede wszystkim w interesie samej NRF. Otworzyłaby ona proces normalizacji, który, jak wyraził się przed kilku dniami min. Gromyko, może oddziaływać „w każdej dziedzinie“. Upatrują w nim szans dla rozwoju współpracy na polu gospodarczym także niektóre zachodniemieckie kłosa przemysłowe. Mimo to opozycja nie daje za wygraną, nasila walkę przeciwko układowi, a jej kulminacja przypadnie na bieżący miesiąc.

Tymczasem w Helsinkach trwa siódma runda SALT. Jak już pisaliśmy na tym miejscu, łączy się z nią nadzieje na zawarcie porozumienia amerykańsko-radzieckiego o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Komentatorzy uważają, że prowadzono ostatnio rozmowy na temat czterech lub pięciu systemów broni ofensywnej, a w tym na temat rakiet balistycznych, zainstalowanych na okrętach podwodnych.

Przekonanie o zbliżającym się finale rozmów jest tak powszechne, że komentatorzy nie zastanawiają się, czy porozumienie zostanie zawarte, lecz nad tym, kiedy zostanie podane do publicznej wiadomości. Przeważa opinia, że stanie się to w czasie majowych rozmów Nixona w Moskwie. Jedyną przeszkodą zewnętrzną zdaniem obserwatorów — w zawarciu porozumienia mogłoby być nieratyfikowanie układów przez NRF.

W ostatnich dniach ożyły znów pogłoski, że przy okazji moskiewskiej podróży prezydent Stanów Zjednoczonych zamierza także odwiedzić Iran, Arabię Saudyjską oraz NRF. Wizyta w Bonn miałaby prawdopodobnie na celu przedyskutowanie kwestii, związanych z polityką wschodnią Brandta. Pisze się także o możliwości spotkania Nixona z ministrami spraw zagranicznych NATO, którzy 31 maja zbierają się na konferencji w Brukseli.

Zaplanowano na kwiecień również podróż Kissingera do Japonii. Zaprzeczono jednak temu, że ma być ona przygotowaniem do wizyty Nixona w Tokio. Taka ewentualność nie wchodzi podobno w rachubę.

Najbliższe tygodnie przyniosą wiele wydarzeń międzynarodowych ale głównymi ośrodkami zainteresowania będą z pewnością: Bonn, Helsinki, Moskwa...

Z rejonów pozaeuropejskich w dalszym ciągu uważa obserwatorów skupia się na Bliskim Wschodzie. Przedmiotem rozważań jest plan Husajna.

Na temat proponowanych przez Jordanię rozwiązań problemu palestyńskiego raz jeszcze zabrał głos Husajn. W swej wypowiedzi dla prasy amerykańskiej stwierdził on, iż Jerozolima mogłaby stać się miastem otwartym, „stolicą Izraela i palestyńskiej części Jordanii“. Podkreślił, że centralnym punktem jego propozycji jest to, aby Jerozolima była miejscem, gdzie „spotykają się trzy wielkie religie światowe“.

Na tę wypowiedź prasa arabska zareagowała bardzo ostro, oskarżając Husajna o zdradę interesów Arabów, sprządzając Jerozolimę, działania w myśl interesów Stanów Zjednoczonych.

Separatystyczne kroki Husajna są niewątpliwie próbą rozbięcia i osłabienia wysiłków postępowych krajów arabskich. Mają one na celu zahamowanie walki świata arabskiego o likwidację skutków agresji i wycofanie wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów. Taką ocenę tego planu przyniosły ostatnio: oświadczenie radzieckiego komitetu solidarności z krajami Afryki i Azji, uważnie odnotowane na świecie artykuły dziennika „Izwestia“ oraz komentarz TASS. Dały one wyraz stanowiska radzieckiego na temat koncepcji utworzenia Zjednoczonego Królestwa Arabskiego.

W. ŚLAWSKI

#### „GIORNI“ — MEDIOLAN

Budżet włoskiego ministerstwa obrony na rok 1972 wynosi 1.888 miliardów lirów. Jest to najwyższa suma na wydatki tego resortu na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. NATO-wscy wodzireje, którzy stale narzekają na brak środków, mają się z czego cieszyć: w porównaniu z 1971 rokiem, otrzymali „nadwyżkę“ w wysokości 15 procent.

60 proc. asygnowanej sumy idzie na utrzymanie personalnego składu włoskiej armii. Zaden kraj na świecie nie łoży tak ogromnych sum na swoje siły zbrojne. Z drugiej strony ani jedna armia w świecie, z wyjątkiem włoskiej, nie może się pochwalić taką liczbą oficerów i pomocniczego personelu cywilnego: na każdego półtora szeregowca przypada jeden oficer, to jest około 150.000 oficerów na 250.000 szeregowców, odbywających służbę wojskową. Jeśli dodać do tego jeszcze około 100.000 ochotników, to armia włoska liczy ogółem ponad pół miliona ludzi.

Do „osiągnięć“ wyższego dowództwa, nazywanego nawiasem mówiąc, „ligą złotego koguta“ (złoty orzełek jest oznaką oficera sztabowego), należy wynalazek tzw. „odwróconej piramidy“, to znaczy zawężenia podstawy w kosztem rozszerzenia wierzchołka. Elita dowództwa armii składa się spośród 1000 generałów i 5-6 tysięcy pułkowników. Praktycznie rzecz biorąc, na każdym 200 szeregowców przypada jeden generał, a pułkownik na każdym 10 szeregowców.

Powróćmy do NATO. Setki miliardów lirów pochłania ta organizacja na zbrojenia i finansowanie swojej infrastruktury. Co roku, ministerstwo obrony krajów należących do Paktu Północnoatlantyckiego, próbuje różnymi, często bezprawnymi, drogami wykroić z budżetów państwowych ogromne sumy na własne potrzeby.

Wreszcie karabinierzy. Jak wiadomo są oni swego rodzaju elitą wojskową, armią w armii. Ich zadania sprawadzają się do wykonywania funkcji policji wojskowej i kontrwywiadu. W bieżącym roku budżetowym na konto karabinierów przypada okrągła suma 360 miliardów lirów, tj. około piątej części ogólnej sumy, asygnowanej na potrzeby wojska. Można teraz zbilansować: 1.000 miliardów — sama armia, 360 — policja wojskowa, około 50 miliardów — NATO, w sumie — 1.410 miliardów lirów. Na inne rozchody pozostaje 478 miliardów lirów. Ale i tych pieniędzy nie wydatkuje się według przeznaczenia, to jest bezpośrednio na cele obrony kraju. Z sumy tej, na przykład, trzeba odjąć 3 i pół miliarda lirów na dodatkowe wydatki sztabu generalnego i jeszcze 500 milionów, przeznaczone do dyspozycji dowództwa karabinierów. Wynika z tego, że budżet republiki włoskiej przewiduje w zasadzie utrzymanie elity wojskowej i pokrywa wydatki Paktu Północnoatlantyckiego, mając przy tym na widoku przekształcenie armii w instrument kontroli i represji dla wewnętrznych potrzeb kraju.

Komisja do zbadania okoliczności przygotowywanego puczu wojskowego we Włoszech w 1964 roku, tzw. „sprawa SIFAR“, stwierdziła poważne naruszenie praworządności, wykryła ciężkie przestępstwa dokonane w wojsku i zażądała wprowadzenia kontroli nad działalnością służby wywiadowczej oraz rozwiązania wszystkich

pozostałych służb informacyjnych, działających w ramach armii włoskiej. Jednakże akty samowoli i łamania praworządności trwają do dnia dzisiejszego.

Dla celów szpiegostwa politycznego wprowadzono specjalne kartoteki według wzorów, opracowanych w NATO. Zgodnie z tym schematem, wszyscy „komuniści, socjaliści, chrześcijańscy demokraci lewego skrzydła itd.“ są „podejrzanymi“, podczas gdy „faszystów, monarchistów, liberałów i pozostałych“, oprócz podejrzanych o przynależność do band i organizacji militarystycznych, uważa się za „prawomyślnych“. Na tej podstawie, i z błogosławieństwem wyższego dowództwa wojskowego, powstają „kontrgrupy“ faszystowskie, będące przeciwważą potencjalnych ugrupowań lewicowych.

Popierając „rozmnazanie się“ generałów i pułkowników, góra wojskowa jednocześnie szybko likwiduje resztki organów kontrolnych. Wzrasta dyskryminacja wojskowych o odmiennych poglądach, słabnie kontrola polityczna nad armią, generalnie otrzymują coraz więcej środków nie kontrolowanej władzy, panuje absolutna samowola w zakresie awansowania oficerów i troski o ich byt materialny. Oto kilka przykładów. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wydatki na karabinierów wzrosły z 70 do 400 miliardów lirów. Środki wydzielone tylko na potrzeby dowództwa, osiągnęły w tym roku sumę pół miliarda lirów, w porównaniu z 35 milionami lirów w 1960 roku. Należy jeszcze do tego dodać trzy i pół miliarda, przeznaczonych wyłącznie na potrzeby sztabu generalnego armii.

Od dnia, w którym przedstawiono w parlamencie sprawozdanie o „wydarzeniach, które miały miejsce w czerwcu 1964 roku“, kiedy to w kraju przegotowywano przewrót wojskowy, minął już rok, ale nikt nie ruszył w tej sprawie nawet palcem. Karabinierzy, skompromitowani w „sprawie SIFAR“, pełnią nadal swoją służbę, jak gdyby nigdy nic.

„W podstawowym wniosku, sprzecywanym przez komisję państwową w trakcie śledztwa, stwierdza się, że w SIFAR i w łonie samej armii działała ekstremistyczna organizacja prawicowa“ — czytamy w referacie komisji. Jak do tego w ogóle mogło dojść?

Posłuszeństwo w składzie osobowym armii wymuszano przy pomocy kar dyscyplinarnych, niepraworządnych przesunięć i przemieszczeń służbowych oraz podarków pieniężnych. Zeby utrzymać klucz w ręku do najważniejszych stanowisk w armii, dowództwo naczelne stworzyło coś w rodzaju „gwardii pretoriańskiej“. Nawet kontrola finansowa nad SIFAR i nad armią spoczywała w rękach tej samej osoby. Między tymi organizacjami istniały ściśle więzy, które w odpowiednim momencie miały doprowadzić do pełnego ich zespolenia. Pielęgnowano plany stworzenia specjalnej zmotoryzowanej brygady karabinierów. Armia dążyła do rozszerzenia swych wpływów w kołach rządowych, szczególnie w zakresie zagadnień polityki wojskowej i nie kontrolowanych wydatków finansowych. Świadomie prowokowała kontrowersje z rządem i prezydentem republiki, i lansowała agresywne plany, oczywiście „w interesie bezpieczeństwa kraju“.

Błędem byłoby przypuszczać, że niebezpieczeństwo przewrotu już nie istnieje.

Przyczyny, które go zrodziły, nie zostały wykorzenione, nie się zmieniło w polityce bloku atlantyckiego. Podstaw do niepokoju jest wiele. Niezmiennie umacnia się pozycja karabinierów, tej niejako uprzywilejowanej kasty wojskowej, rozszerza się ich autonomia, wzrasta ich kontrola nad pozostałymi rodzajami wojsk i siłami policyjnymi. W jakim celu? Na to pytanie dała swego czasu odpowiedź komisja do zbadania „sprawy SIFAR“, żądając, by rząd bezzwłocznie podjął środki w celu zlikwidowania tej niebezpiecznej tendencji. Niestety, żądania te pozostały tylko na papierze.

Na zakończenie należy też powiedzieć o konkurujących ze sobą różnych rodzajach włoskiej policji, które — w taki czy inny sposób — są powiązane z siłami zbrojnymi. Choć policja zajmuje się głównie walką z nadużyciami finansowymi i kontrabandą, wykonując wyłączenie funkcje o charakterze społecznym, to jednak jest zorganizowana na wzór wojskowy. Policja włoska jest podporządkowana reakcyjnej doktrynie, zgodnie z którą pod ochroną porządku publicznego należy rozumieć przede wszystkim tłumienie wystąpień mas pracujących.

### Sprawa: Fridman i S-ka

#### „KONKRET“ — HAMBURG

Latem 1970 roku, na izraelskim lotnisku Lod, wysiadł z samolotu człowiek z amerykańskim paszportem. Powiedział, że przybył do Izraela w charakterze turysty. Wkrótce potem „turysta“ złożył podanie o przyznanie mu obywatelstwa izraelskiego.

Był to Mejer Lanski — osobistość dobrze znana w świecie przestępczym. Lanski należy do liczby wodzi-rejów zorganizowanej przestępczości w Stanach Zjednoczonych i już od wielu lat jest członkiem amerykańskiej mafii. Przybывая do Izraela, Lanski wiedział chyba, że tutejszy urząd imigracyjny nie odmówi mu udzielenia obywatelstwa izraelskiego. Liczył w tym na usługi, które wyświadczył syjonistom. Jeszcze będąc w Ameryce manifestował swą wierność ideom syjonizmu, ofiarowując poważne sumy na „żydowski fundusz narodowościowy“. Lanski nigdy nie był głuchy na prośby przeróżnych organizacji syjonistycznych w Izraelu i nigdy nie odmawiał im pomocy pieniężnej. Izraelska gazeta „Gaarec“ donosiła swego czasu, że tajemniczym kanałem „płyną do Izraela miliony dolarów, „zdobyciwanych“ przez korporacje finansowe, kontrolowane przez gangsterów.

Pojawienie się Mejera Lanskiego nie uszło uwagi społeczeństwa. Później wyszło na jaw, że jeszcze inni dwaj znani członkowie amerykańskiej mafii już osiedlili się w Izraelu. Są to: Lu Fuller i Jo Stascher. W związku z tym w prasie izraelskiej ukazały się informacje, że w Izraelu istnieje przestępczość, przy tym szczególnie aktywność przejawiająca syndykaty gangsterskie.

Na tej fali, dwaj ministrowie: minister finansów — Sapir i minister sprawiedliwości — Szapiro, ostro wystąpili przeciwko udzieleniu Lanskiemu obywatelstwa izraelskiego. Ci „czcigodni bojownicy walki z przestępczością i korupcją“ mieli podstawy, aby nie wpuszczać do Izraela amerykańskiej mafii: „zagraniczna konkurencja“ stawała się niebezpieczna dla ich własnych interesów.

Już w momencie, gdy sąd najwyższy w Izraelu badał dokumenty Lanskiego, w kraju wybuchł kolejny skandal. Głównym jego bohaterem był Mordechaj Fridman, były właściciel firmy wykonującej prace wiertnicze w szybach naftowych. Radcą prawnym tej firmy był w owym czasie wspomniany już Szapiro, zajmujący później stanowisko ministra sprawiedliwości. Fridman był także w dobrych stosunkach z ministrem finansów Sapi-

rem. Dowodem ich zażyłości jest fakt, że minister finansów, wbrew wszelkim przepisom, zwolnił fridmanowską firmę „Continental“ od płacenia podatków.

W początkach 1967 roku Fridman znalazł się w dyspozycji ministerstwa wojny. General Cwi Cur (bliski przyjaciel Mosze Dajana) porucił mu opracowanie projektu eksploatacji egipskich źródeł naftowych, położonych na Półwyspie Synajskim. Warto zwrócić uwagę, że zadanie to otrzymał Fridman na kilka miesięcy przed wybuchem wojny w 1967 roku, którą Izrael rozpoczął rzekomo li tylko dlatego, by uchronić się od iluzorycznego zagrożenia Arabów.

We wrześniu 1967 roku powstało izraelskie przedsiębiorstwo państwowe, które rozpoczęło wydobywanie ropy na Półwyspie Synajskim, na rejonach zagrabionych Egipcjanom. Generalnym dyrektorem przedsiębiorstwa został Fridman, zaś przewodniczącym rady nadzorczej — zastępca ministra finansów — Cwi Dinstein. General Cur także otrzymał swoje miejsce w radzie nadzorczej.

Jako generalny dyrektor firmy państwowej, Fridman musiał zostać się ze swoim własnym przedsiębiorstwem. Postanowił rozwiązać ten problem całkiem prosto, tj. sprzedał za okrągłą sumę urządzenia naftowe swojej firmy „Continental“ przedsiębiorstwu państwowemu, którego dyrektorem generalnym był on sam. Transakcja ta przyniosła mu ponad 100 proc. zysku...

O brudnych aferach Fridmana dowiedział się pewien młody geolog, który przekazał władzom znane mu fakty. Sprawa Fridmana znalazła się w rękach izraelskiego ministra sprawiedliwości Szapiro — starego przyjaciela Fridmana. Szapiro polecił jednemu z prokuratorów przeprowadzić „dodatkowe śledztwo“. Ostatecznie sprawą zainteresował się parlament izraelski. Pod presją opinii publicznej powołano specjalną komisję śledczą. Przeciwno powołaniu tej komisji, wraz z Szapiro i Sapirem, aż do ostatniej chwili, występowała premier Golda Meir i minister wojny Mosze Dajan. Koniec końców sprawę zatuzosowano i wszyscy uczestnicy afery, włącznie z Fridmanem, pozostali na swych wysokich stanowiskach.

Staje się teraz zrozumiałe, dlaczego panom Szapiro i Sapir wyraźnie nie odpowiada konkurencja ze strony amerykańskich gangsterów, typu Mejera Lanskiego i Jo Staschera.

#### W następnym numerze „ODGŁOSÓW“:

- KAROL BADZIAK — Leszek fatalny
- BOGUSŁAW KUKUĆ — Kto robi bimber?
- Pogotowie czy „rejon na kółkach“?
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

Dalszy ciąg ze str. 1

Dokumentów zapisanych historia „Progaru” jest tyle, że ładne parę książek można by z nich wydać. Czytałam je po kolei, ale w pewnym momencie wszystko mi się dokładnie poplątało. I wtedy naczelny dyrektor „Progaru” — Ryszard Kamiński zaproponował:

— Chodźmy obejrzyć zakład. To pani sporo wyjaśni.

Rzeczywiście wyjaśniło. Ten nowy budynek wygląda tak, jakby lada moment miał się tam rozpocząć kapitalny remont. W magazynach i kabinach natryskowych, usytuowanych w piwnicach, ze ścian i sufitów odpadają wielkie, mokre platy tynku. Cuchnie wilgocią i grzybem. W ciasnym i gorącym pomieszczeniu wezła ciepłego, gdzie nawet zima temperatura dochodzi do 60 stopni, w każdej chwili grozi wypadek. W komorze chłodniczej odpada zaprawa z sufitu. Na korytarzu pod nogami chlupie woda, a w niektórych salach produkcyjnych oprócz tego kapie na głowę. W ścianach rysują się pęknięcia i uskoki, a z posadzki odskakują glazururowe płytki.

— I co ja mam z tym zrobić? — zapytał dyrektor Kamiński, kiedyśmy skończyli wizję lokalną. — Nie wiem — przyznałam szczerze. I wówczas zdecydowałam, że odwiędzę wszystkie instalacje „maczające palce w tej katastrofie produkcyjnej” — jak to określili jeden z moich późniejszych rozmówców. Sądziłam, że po tych wizytach będę znała odpowiedź na pytanie dyrektora Kamińskiego.

2.

Wcześniej jednak otrzymałam odpowiedź na inne, równie ważne pytanie: jak do takiej sytuacji w „Progarze” doszło?

— Na naradach miałem przeciwko sobie dwunastu specjali-

stów. Każdy z nich był fachowcem w swojej dziedzinie, ja reprezentowałam kierownictwo zakładu, który wówczas był jeszcze w budowie. Kto wie, gdyby uważnie wtedy słuchano naszych opinii, może byśmy się teraz tak nie męczyli? — to dyrektor Gorzkiewicz, ten który pozostał w „Progarze”, żeby kierować produkcją i zakładem, podczas gdy dwunastu gniewnych specjalistów dawno przeszło budować co innego. I ci z Biura Studiów i Projektów Handlu Wewnętrznego w Warszawie, i ci z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego „Przembud” i ci z Dyrekcji Inwestycji Miejskich Łódź-Miasto III.

Spotykali się na placu budowy „Progaru” dość długo — od lipca 1967 roku do końca kwietnia 1970 roku, a łącznie z rozruchem technologicznym — do połowy marca roku 1971. W podanym terminie zmieściło się również przeszło półroczne opóźnienie które zresztą w stosunku do opóźnień innych inwestycji było prawie minimalne.

Fakt, że na dwie godziny przed uroczystym i oficjalnym przecięciem wstęgi w „Progarze” trzeba było na gwałt usuwać wodę stojącą na korytarzach, nie zaskoczył kierownictwa zakładu. Już wcześniej było wiadomo, że do stwierdzenia „wszystko gra” jest jeszcze bardzo daleko. A poza tym i tak wszyscy wiedzieli, że przecięcie wstęgi nie jest równoznaczne z ukończeniem prac przy budowie nowego zakładu. Ale bez przecięcia wstęgi produkcja byłaby pewnie nieważna.

Zaczął się rozruch technologiczny i tak jak to normalnie bywa nastąpił w „Progarze” nowy etap — wyznaczanie kolejnych terminów na usunięcie usterek. Z różnych dokumentów wynotowałam kilka:

- 12 stycznia 1971.
- 11 lutego 1971.
- 30 maja 1971.
- 29 lutego 1972.

To, iż terminy rozciągnęły się na okres całego roku, wcale nie znaczy, że ujawniano coraz to nowe braki. Wprost przeciwnie. Niektóre wady zanotowane były w wykazach sporządzonych jeszcze w trakcie budowy „Progaru”, i podobnie jak te, które ujawniły się dopiero podczas rozruchu technologicznego, powtarzają się jak refren we wszystkich pismach do dziś. Na przykład zła izolacja stropów oraz rur instalacyjnych, przez co woda wsiąka w ściany. Dalej — kłopoty z kratkami ściekowymi, które najpierw były i za małe i w niedostatecznej ilości. Później, kiedy powiększono i kratki i ich ilość, okazało się, że posadzki mają zły spady i woda zamiast ściekać do krutek, zbiera się w różnych miejscach na posadzkach. Dalej — niewystarczająca wymiana powietrza w halach produkcyjnych, co powoduje i zaciekły przytępnienie powietrza i skraplanie się pary pod sufitem. Dalej — za wąskie drzwi w pomieszczeniach chłodniczych. Dalej... Chyba starczy.

Rok cały nie wystarczył, żeby usunąć wady w budynku „Progaru”. Nie dlatego, że zabrakło czasu, że zaszły nieprzewidziane trudności, albo że zabrakło odpowiednich materiałów. Po prostu nie miał się kto do tego zabrać. I w dalszym ciągu nie ma. Powód? Nie ma winnych. W dużym skrócie wygląda to tak:

— **PROJEKTANT** — Biuro Studiów i Projektów HW w Warszawie — uważa, że winę za istniejący stan ponosi wykonawca i inwestor zastępczy;

— **WYKONAWCA** — LPBP „Przembud” — że zawinił projektanci i inwestor;

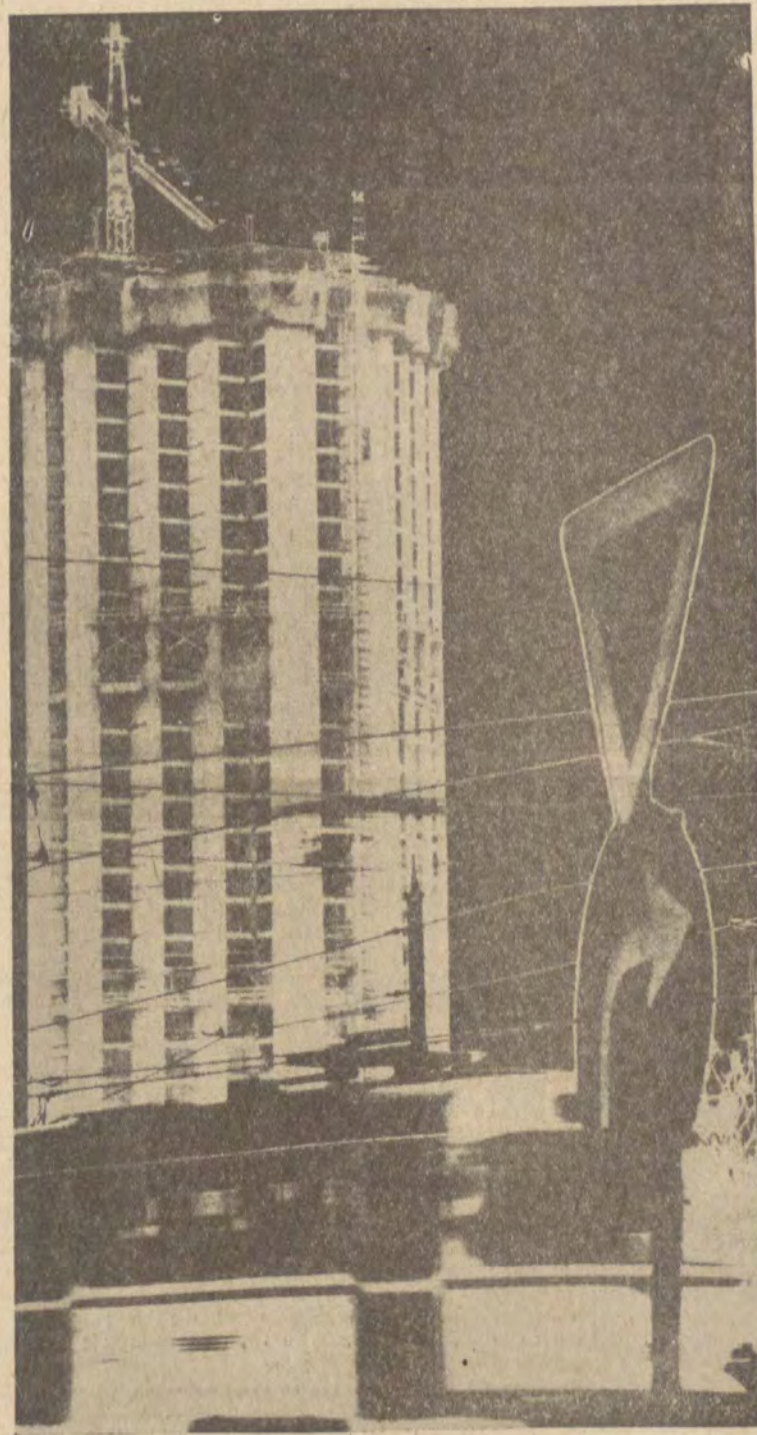
— **INWESTOR** — Dyrekcja Inwestycji Miejskich Łódź-Miasto III — „sprawiedliwie” podzieliła winę, „przydzielając” projektantom 8 punktów ujemnych, a wykonawcy — 6.

Jeden z dziennikarzy, pisząc o kłopotach „Progaru” nazwał tę sytuację partią — modnego skądinąd ostatnio — ping-ponga. Przekonałam się, że partnerem „rozgrywki” tak się to określenie spodobało, iż sami zaczęli go używać. Jakby zapomnieli, że to oni są zawodnikami.

3.

Szłałam kolejne wizyty. Byłam u projektantów, u inwestora zastępczego, u wykonawcy, w Łódzkim Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Handlowych Artykułami Spożywczymi i Przemysłu Gastronomicznego, które zapłaciło za progarską inwestycję. I z każdą rozmową przybywało coraz więcej przyczyn, których efek-

# Dwunastu specjalistów i „Progar”



tem jest „knot” na Nowych Sądach.

— A wzięła pani pod uwagę trudności obiektywne? — często padło pytanie. I zaczynała się wycieczka. Tylko niektóre z tzw. przyczyn obiektywnych wydały mi się bezsporne. Większość budziła jednak poważne wątpliwości. Na przykład ta, którą posługiwano się niby zasłoną dymną — PROTOTYP.

— Projektowaliśmy „Progar” jako jedną z pierwszych przetwórczyń garmazeryjnych w Polsce. A na dobrą sprawę nikt wówczas nie wiedział, czy to ma być duża kuchnia, czy fabryka spożywcza. Było to doświadczenie, na którym się dopiero uczyliśmy. Nikt nas za granicę nie wysłał, żebyśmy zobaczyli, jak inni to robią — powiedzieli projektanci z warszawskiego biura.

— To był prawie prototyp i trudno mieć pretensje do projektantów, wykonawców i inwestorów, bo nie mieli żadnych doświadczeń. Ale nie przewidzieliśmy, że dojdzie do tego generalne partactwo i karygodny brak gospodarności — powiedział dyrektor Łódzkiego Zjednoczenia.

— Projektanci nie przewidzieli takiego drobnego faktu, że w naszej

codziennej obróbce produktów potrzeba dużo wody i że w związku z tym będzie w zakładzie mokro — uzupełnili te opinie dyrektorzy „Progaru”.

I tu pierwsza refleksja. Jeśli nawet zgodzimy się, że Łódzki „Progar” jest prototypem, to trudno się zgodzić na tak wysoką cenę zdobywania doświadczeń. Wszakże „Progar” programowali, projektowali i budowali fachowcy, a nie dyletanci.

Druga refleksja przyszła po stwierdzeniu projektantów:

— Myśmy nie robili projektu pod stołem. Zatwierdziła go przecież Komisja Oceny Projektów Inwestycyjnych z Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Specjaliści z tej komisji skreśliłi wówczas z planu nie tylko wagę wozową, kontrolującą wywóz gotowych produktów z zakładu i pralnię, której dziś domaga się „Sanepid”, ale zmniejszała też kubaturę, gdzie się tylko dało. Powinniśmy byli wtedy dyskutować z KOPI, powinniśmy byli nie godzić się. Ale był to okres, kiedy robilo się OSZCZĘDNOŚCI ZA WSZEJKA CENĘ. I dlatego powinna pani po-

rozmawiać na temat „Progaru” również w ministerstwie.

DO MHW jednak już nie poszłam, bo i co nowego mogłabym tam usłyszeć? Sądzę jednak, że przykład „Progaru” warto zapamiętać, choćby dlatego, że daje zupełnie jednoznaczny odpowiedź na pytanie: co się bardziej oplaca — oszczędzać w kosztach inwestycji i później ją poprawiać i przerabiać, czy też nie obniżać na siłę kosztów i otrzymać obiekt, który nie wymaga remontu w rok po uruchomieniu? I na co nas bardziej stać?

4.

W historii „Progaru” jest jeszcze sporo zjawisk, które wpłynęły na jakość tej inwestycji: przepisy normatywne, trudności materiałowe, niewłaściwie funkcjonujący nadzór autorski, kooperacja, partactwo budowlanych, sprowadzający się tylko do buchalleryjnych czynności nadzór inwestorski. O każdym z tych zjawisk można napisać odrębny artykuł, ale nie byłoby to już sprawa „Progaru”, a naszych inwestycji w ogóle.

Opowiedziano mi zdarzenie, które miało miejsce na innej budowie. Do inspektora nadzoru, lekcważącego wypełniającego swoje obowiązki, zwrócił się ktoś z pytaniem:

— A co będzie, jeśli każą się panu rozliczyć z roboty?

— Przecież to się będzie budować jeszcze ze trzy lata, a ja już będę wtedy na innej budowie — spokojnie odpowiedział inspektor.

W wypadku progarskiej budowy ta niemal anegdota sprawdziła się o tyle, że ówczesny dyrektor „Przembudu” nie zajmuje już tego stanowiska, inspektora nadzoru zwolniono, a tylko projektanci zostali w swoim biurze, inkasując nagany. A jednocześnie anegdota może się nie sprawdzić, bo trudno będzie uchylić się od odpowiedzialności, jeśli prokurator wskaże konkretne osoby. Miejmy nadzieję, że wskaże, chociaż sprawa jest trudna, bo prokuratorzy nie mają jeszcze praktyki w rozpatrywaniu przypadków niegospodarności. Możliwość ścigania za takie wykroczenia wprowadzono dopiero w nowym kodeksie karnym. Poza tym nie jestem pewna, czy ktoś z pozowanych nie zaproponuje prokuratorowi — tak jak mnie — żeby się udał do ministerstwa.

Sprawa „Progaru” trafiła także do Okręgowej Komisji Arbitrażowej, której pierwsze, częściowe dopiero orzeczenie, obciąża poważnymi karą finansowymi LPBP „Przembud”. Jakikolwiek jednak będą ostateczne ustalenia prokuratury i Okręgowej Komisji Arbitrażowej — od tych ostatnich przewiduję liczne odwołania — to nie rozwiążą one moim zdaniem najistotniejszego w całej tej historii problemu — nie odpowiedzą na pytanie, które konsekwentnie zadawałam wszystkim moim rozmówcom.

— **CO ZROBIĆ Z „PROGAREM”?** — Konserwować to, co jest, a za dwa, trzy lata zrobić generalną przebudowę — odpowiedział przedstawiciel inwestora.

— Będziemy we własnym zakresie likwidować wszystkie wady, a kosztami obciążymy wykonawcę — stwierdził dyrektor Zjednoczenia, któremu podlega „Progar”.

— Ta bardzo zła garmazernia robi więcej, niż bardzo dobra w Katowicach — to opinia projektantów.

— Trzeba sprawę rozwiązać po męsku, na podstawie uwag użytkownika zrobić weryfikację dokumentacji, opracować na nowo fragmenty budzące zastrzeżenia i zacząć robić porządek. Bo latania niczego się nie rozwiąże — zaproponował nowy dyrektor „Przembudu”.

Przyznam, że ta ostatnia propozycja wydała mi się najsensowniejsza, choć mogę się mylić. Ale to nie ja powinnam się zastanawiać, co zrobić, żeby poprawić warunki pracy w „Progarze”. Nie do mnie należy ostateczna decyzja, której do tej pory nie ma kto podjąć. Bo przecież inwestycyjni partnerzy dawno się rozeszli, został tylko użytkownik. Niech się martwi. Tylko, jak długo będzie jeszcze obowiązywał podobny schemat myślenia? I co będzie, jeśli specjaliści, którzy spotkali się na placu budowy „Progaru”, spotkają się na innej budowie?

Na zakończenie tej progarskiej historii, na której mogłoby się uczyć młodzi, jak nie powinien wyglądać proces inwestycyjny, chciałabym zaznaczyć, że nie oczekuję na żadne pisma wyjaśniające. Wiem dokładnie, co będą zawierały. Zamiast tego wołam zaproszenie od dyrektora Kamińskiego do „Progaru”, w którym wszystko już będzie „na medal”. Łącznie z produkcją.

BOGDA MADEJ

str. 3

Listy  
DO  
REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

„Odgłosy” w nr 8(744) z dn. 20. III. 1972 r. zamieściły artykuł Jerzego Urbaniewicza pt. „Dlaczego Łódź musi być brzydka?”

We wspomnianym artykule znajduje się wzmianka, że w związku z planem przebudowy centrum Łodzi, istnieje zagrożenie dla parku im. Henryka Sienkiewicza. Często w łódzkiej prasie codziennej podnoszą się głosy krytyczne o niszczeniu tysięcy drzew, bądź to w drzewostanach parkowych, bądź to w postaci poszczególnych drzew ulicznych.

Wojewódzki Komitet Ochrony Przyrody występuje z gorącym apelem do odpowiednich czynników, aby zapobiec dalszemu lekkomyślnemu niszczeniu „zielonych płuca” miasta, aby z rozsądkiem i z opamiętaniem się, w skrajnej tylko potrzebie, wycinać „przeszkadzające” budowom drzewa. Park im. H. Sienkiewicza należy do najstarszych w Łodzi. Założony został 90 lat temu, jest oazą roślinności w ciasno zabudowanym śródmieściu.

Nie niszczy my tego, co posadzone zostało rękoma naszych dziadków i pradziadków.

Sekr. Woj. Kom. Ochrony Przyrody

(—) Dr Romuald Olczek

Przewodniczący Woj. Kom. Ochrony Przyrody

(—) Prof. dr Jakub Mowszowicz

## Dalszy ciąg ze str. 1

współcześnie rola powieści w społeczeństwie jest zupełnie wyjątkowa, gdyż mimo narzekań na kryzys, należy ona wciąż do najpoczytniejszych gatunków literackich. To właśnie jest rozstrzygające, choć inne rodzaje, a nawet gatunki literackie, mimo że operują znacznie mniejszą perspektywą, mają nie mniejsze możliwości poznawcze i intelektualne. A jak już wspomniałem, rok miniony pisarzy łódzkich stał pod znakiem powieści.

Przed wszystkim powieści współczesnej, czego nie można utożsamiać z publicystyczną doraźnością, chociaż nie brakowało książek o tematyce aktualnej. Nie brakowało także książek podejmujących problematykę przesuniętą z pozoru w przeszłość, pisanych z dystansu. Ale, jak pisał Stanisław Brzozowski, którego recepcję z sympatią obserwuję, „dla każdej epoki nie mniej charakterystycznym jest to, co myśli ona o przeszłości swojej, niż to, co sądzi ona o stanie swym obecnym”.

Warunki te spełnia, jak sądzę, powieść Władysława Rymkiewicza „PORTRET KRÓLOWEJ”, opatrzona podtytułem „powieść współczesna”. O sukcesie tej próby zdecydował już sam wybór centralnego problemu, który pozwala na szerokie snućie historyzoficznej refleksji. Biografia Królowej Jadwigi jest przecież na tyle kontrowersyjna, że świetnie nadaje się do odczytania teraźniejszości poprzez przeszłość. Rymkiewicz rozpatruje bowiem historię w aspekcie przede wszystkim moralnym. Pyta przecież: czy mamy prawo obalać mity, na których wychowały się całe pokolenia i jaka będzie cena kulturowa takiej rewizji? Pytanie: czy prawda jest złem? — umysławia nam możliwości różnych postaw wobec tradycji i historii, a przecież Rymkiewicz podejmuje nawet próbę ukazania mechanizmów, jakie rządzą mitem, co właśnie szczególnie aktualizuje podjęta przez niego problematyka.

Pytanie, tak dramatycznie postawione przez Rymkiewicza, stara się rozstrzygnąć Wiesław Jażdżyński. Jego powieść o polskim losie zatytułowana „POMNIK BEZ COKOŁU”, odwołując się do historii rozpatruje kapitalny problem każdej współczesności: co dziedziczymy po minionych generacjach. Przechodzenie człowieka z epoki w epokę, to przede wszystkim zagadnienie miejsca określonej formacji umysłowej w porządku dziejowym, genealogiczna ciągłość. Można ją przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza, to znaczy z całym bagażem mitologii stworzonej na nasze podobieństwo. Ale Jażdżyński wybrał postawę inną. Powieść jego o trzech kolejnych polskich pokoleniach reprezentowanych przez rodzinę Drzewieńców kładzie nacisk na demaskację mitów i legend dwudziestolecia międzywojennego. A demaskacja ta rozciąga się równocześnie na czasy nam współczesne i przynajmniej częściowo tłumaczy nam „genealogie teraźniejszości”. Wierny tej problematyce pozostał Jażdżyński także w swojej drugiej wydanej w roku ubiegłym powieści pt. „W OSTATNIEJ GODZINIE”. Autor odwołując się w warstwie stylistycznej do pomników naszej kultury (w tym znaczeniu jest to powieść bardzo literacka) ukazuje

nam spory i rozdzierała okupacyjne towarzyszące refleksji, jaki też ma być kształt wyzwolonej ojczyzny. „Ostatni zjazd” w pałacu hrabiego Pułatyńskiego doskonale ukazuje, dokonując się przy grzmocie armat nadciągającego frontu, zmianę warty w wymiarach ogólnospołecznych. A chociaż Jażdżyński podjął w swojej powieści problem globalnie rozstrzygnięty przez historię, udało mu się jednocześnie, co wydaje się szczególnie cenne, ukazać trudny drogą poszukiwania swego losu przez jednostkę w czasach, które ze względu na ich wagę, a nie samo tylko oddalenie, słusznie nazywamy historycznymi.

Egzemplifikacją tych losów jest także powieść Wacława Bilińskiego „LOS I LUT SZCZĘŚCIA” o zasadniczo innych jednak założeniach, mimo pewnej zbieżności problemowej Racjonalizmowi i optymizmowi Jażdżyńskiego przeciwstawia bowiem Biliński fatalistyczną koncepcję historii amoralnej, którą rządzi ślepy traf i gdzie o wyborze postawy przez jednostkę decyduje przysłowiowy „lut szczęścia”. Ta pesymistyczna wizja dziejowa udokumentowana została biografiami porucznika Andrzeja Ruppą oraz Izy Przedzmyrskiej znanej w powieści pod nazwiskiem Konopki. „Kto wie — pyta Biliński, mówiąc o ostatnich dniach wojny — może było właśnie tak, jak spróbowano ukazać na kartach tej książki?”. Jest w tym pytaniu sporo przekory i raczej należy przypuszczać, że wyraża ono protest i bieżące humanisty wobec okrucieństw wojny, bo chyba powieściowej koncepcji Bilińskiego nie można interpretować rozszerzając ją na całe dzieje.

Do problematyki okupacyjnej, martyrologicznej nawiązuje również kunsztownie zbudowana powieść Tadeusza Chrościelewskiego „AURELIAN ALBO ZJAZD KOLEŻENSKI”, w której raz jeszcze postawione zostało zagadnienie pokolenia. Pokolenia w znaczeniu historycznym, to znaczy związanej z określoną datą, która określa wspólnotę postaw i wspólnotę wartości. Ta data jest właśnie okupacja. Relacja z odbywającego się po wojnie zjazdu koleżeńskich absolwentów pewnego gimnazjum potraktowana została tylko pretekstowo dla snućia refleksji o losach generacji znanej nam już z literatury pod mianem Kolumbów. A trzeba dodać, że autor sam jest tego pokolenia przedstawicielem (rzeczą godną uwagi: Chrościelewski wydał konspiracyjnie w r. 1944 tom wierszy pt. „Uczta Aureliana”). Znajdziemy w powieści Chrościelewskiego te same tragiczne splątania, co w omówionych tu książkach Jażdżyńskiego i Bilińskiego, ale nurt narracji różni się swoją

tonacją. Sprawia to szcążkowość i pretekstowość fabuły, gdyż główne treści książki zawarte zostały w partiach eseistycznych. Dodatkowy strumień refleksji dotyczy zagadnienia „małej ojczyzny”, a więc tego, co nazywa się na ogół ironicznie lokalnym patriotyzmem. Istotnym walorem powieści jest precyzyjna obserwacja i wprost drobniągowa znajomość szczegółów, co każe nam podejrzewać, że wiele partii „Aureliana” ma charakter autobiograficzny, chociaż autor zdobywa się na dystans poprzez kunsztowny chwyt formalny: precyzyjnie wykorzystuje „efekt obcości”, aby spotęgować obiektywizację narracji.

## KSIĄŻKI PISARZY ŁÓDZKICH W R. 1971

becnie sięgnęła pisarka po temat współczesny, choć także łódzki. „KRÓLOWA MAJORKI” to, podobnie jak w debiucie Chrościelewskiej, próba spojrzenia na rzeczywistość oczami dziecka. Ta świadoma infantylizacja narracji w zestawieniu z baczna obserwacją obyczajową tworzy dodatkowe napięcia dramaturgiczne, a przecież powieść ma jednocześnie wiele specyficznego hu-

trafi ciekawą kreską ukazać jego odrębności. Na tle dotychczasowych poszukiwań pisarza zaobserwować można w „Powrocie żurawi” powrót do wielkiej obsesji moralnej, pod której znakiem Iwanicki zadebiutował. Waga tematu sprawia, że w całokształcie prób pisarza obsesja ta znajduje teraz najpełniejszą realizację.

Proces adaptacji inteligenta w pierwszym pokoleniu ukazuje Edward Kopeczyński w swojej najnowszej powieści „INTRUZ”. Najtrafniejsze wydają mi się partie książki w których autor ukazuje szczeble kariery młodego lekarza karykaturując przy tym środowisko luminary medycyny. Mniej przekonująco ukazany został powrót głównego bohatera do rodzinnej wsi. Rama kompozycyjna zamaskowała bowiem nieco zasadnicze motywy odrzucenia „intruza” przez nowe środowisko. Ale te niedostatki konstrukcyjne wynagradza miejscami bardzo trafna obserwacja obyczajowa.

Książka zmarłego w r. 1970 wybitnego poety Stanisława Czernika wymagałaby w zasadzie odrębnego omówienia. „SNY I WIDMA” to przecież pieczołowicie zebrane przez syna pisarza, Mieczysława, fragmenty nie ogłoszonej do tej pory puścizny. Toteż i książka ma charakter tylko szkicowy, widać w niej dopiero zamysły ogromnego eseju folklorystycznego, a jest to przecież dziedziną, której Czernik poświęcił niemal całe swoje życie. Szczególnie interesujący wydaje się szkic o polskiej poezji magicznej i żałować należy, że śmierć wielkiego pisarza opóźniła realizację eseju poświęconego wyłącznie problematyce magii, bo nie wątpię, że poszukiwania Czernika będą kontynuowane przez innych. Ze szczególnym wzruszeniem czyta się po latach ogłoszony po raz pierwszy wstęp do zamierzonej przez poetę autobiografii. Ta pośmiertna książka Czernika wywołuje także gorzkie refleksje: oto wciąż jeszcze nie doczekaliśmy się monografii jednego z najwybitniejszych współczesnych polskich twórców.

Tak przedstawiają się propozycje prozy łódzkiej w r. 1971. Zwraca uwagę, że autorami wielu z omówionych tu książek są ludzie młodzi. Pozwala to przypuszczać, że łódzkie środowisko literackie jest środowiskiem rozwojowym i że w dalszym ciągu będziemy świadkami jego nie słabnącej aktywności.

## KONRAD FREJDLICH

Piewcą prowincji jest także Eugeniusz Iwanicki, który w swojej trzeciej z kolei książce zatytułowanej „POWRÓT ŻURAWI” ukazuje proces adaptacji rodziny repatriantów ze Związku Radzieckiego. Żywot głównego bohatera powieści Pawła, to biografia niemal modelowa, jaka była udziałem setek tysięcy Polaków. Spokojna, beznamietna narracja wsparta została baczna obserwacją, nie brak także w powieści specyficznej egzotyki, gdyż Iwanicki dobrze zna portretowane przez siebie środowisko i po-

\*) Cyfra ta nie oddaje całokształtu dorobku książkowego pisarzy łódzkich w roku minionym. O debiutach, propozycjach literatury młodzieżowej a także o twórczości przekładowej napisałbym oddzielnie.

P.S. Powieść Romana Łobody „Cena miłości” nosiła w pierwszym wydaniu tytuł: „Korzenie obok rzeki”. Omówione tu książki wydane zostały nakładem następujących wydawnictw: WL, PIW, Czytelnik, LSW, MON, PAX.

# WŚRÓD PROZY

Mówiąc o tematyce okupacyjnej nie można pominąć książki Macieja Józefa Kononowicza „SZYFR O OJCZYŹNIE”, podejmującej tę problematykę w sposób już bezpośrednio osobisty. Jego wspomnienia, ułożone w cykl zamkniętych artystycznie nowel, są także swoistym rozrachunkiem z młodością i w swojej warstwie informacyjnej przynoszą wiele nowych elementów do obrazu okupacji.

Skoro już jesteśmy przy wspomnieniach: warto odnotować autobiograficzną powieść zmarłej niedawno Heleny Dunin pod charakterystycznym tytułem „NA WIECZÓR SWEGO ŻYCIA PRZYJJDZ Z WŁASNA LAMPĄ”. Zdarzenia i epizody ze swego ciekawego życia włączyła Duninówna w szeroki nurt refleksji o kondycji ludzkiej. Ta powieść o młodości i zmierzchu tchnie jakimś przekonującym optymizmem, za którym stoi ogromne doświadczenie życiowe a jednocześnie kulturowe, gdyż autorka nieraz odwołuje się do lektur kojarząc je ze swymi przeżyciami. Myślę, że jest to książka bardzo istotna w całym zamkniętym tak nieoczekiwanie, dorobku twórczym Duninówny, nie tylko ze względu na wartość przemysłu, ale także z uwagi na walory formalne, gdyż stop różnicy/ poetyk dał nieoczekiwanie interesującą całość.

Autobiografizm, chociaż w bardziej zawaolowanej postaci, patronuje także zbiorowi opowiadań Antoniego Kasprowicza „DZIELNICA PLEBEJUSZÓW”. Kasprowicz przywołuje na pomoc swoją młodość, aby animować rzeczywistość dwudziestolecia międzywojennego w Łodzi, którą tak dobrze zna z autopsji. Pod jego piórem odżywiają tragedie i radości robotniczych sektorów miasta. Nie zadawała go zresztą kronikarska rzetelność obserwacji. Każda nowela to ballada, w której odzywa się pogłos ludowego moralitetu.

W tej fascynacji problematyką łódzka wiernie sekunduje mu Honorata Chrościelewskiego, która zadebiutowała przed laty powieścią „Córka tego, co tramwaje jego”. O-



Fot. A. Wach

## JÓZEF POTĘGA

# Z prochu powstałe...

„Garnarczom skład nawiedził  
wczoraj na bazarze  
I patrzałem, jak prochem zrzęcznie  
dłonie maże.  
Widzę-ci ja — choć głupi ludzie  
nie widzą —  
Ze to ojca mego prochy gniotą  
garnarce”.

Oni tam w Azji, w Indiach, nad brzegami Morza Czarnego i Morza Śródziemnego organizowali potężne państwa, prowadzili ożywiony han-

del, toczyli krwawe wojny, pisali mądre traktaty filozoficzne i piękne wiersze już 2, 3 czy 4 tysiące lat temu.

Tamte, azjatyckie cywilizacje, upadłe lub zniszczone, pokryły wszechobecną piasek. Rozspaly się w proch i w pył wspaniałe budowle i ciała ludzi mądrych i głupich, dzielnych i tchórzów, pięknych i brzydkich — twórców tamtych cywilizacji i tamtych światów.

I kiedy dziś wspominam daleką, starą Chiwę, wspaniałą i zagubioną

gdzieś między dwoma bezkresnymi morzami piasku, pustyniami Karakum i Kyzyl-kum, nieodmiennie widzę jej wyniosłe, ciężkie, potężne mury ulepione z szarej gliny. Kiedyś broniły one skutecznie stolicy potężnego chanatu chorezmijskiego, słynącego daleko wokół. Dziś stanowią jedyną w swoim rodzaju atrakcję turystyczną. Węć podejrzamy bliżej, całkiem blisko...

Domy wewnątrz murów, poza którymi rozciąga się równa, lekko po-faldowana pustynia porośnięta z rzadka kępami mizernych chwastów żywiących osły i wielbłądy — więc domy wewnątrz murów zbudowane są także z wszechobecnej gliny przy zastosowaniu sposobu znanego niewątpliwie już kilka tysięcy lat temu. Zgarnia się odpowiednią ilość tego prochu, szarej sypkiej gliny, do złudzenia przypominającej cement, miesza się ją ze słomą pociętą na dziesięciocentymetrowe żdzbla, a następnie obficie zlewa wodą. Tak przygotowana masa, „przegryza się”, ciągle zwilżana przez noc i następnego dnia można już przystąpić do budowy. Z takiej zaprawy, formuje się bochenki, tej wielkości i kształtu okrągłego jak u nas chleb, a te cegły — po wyschnięciu na słońcu — układają się pomiędzy wcześniej wzniesioną z drewnianych żerdzi konstrukcją domostwa. Powstaje coś w rodzaju „pruskiego muru”, tynkowanego następnie z wierzchu i od środka też samą zaprawą. Po 2-3 dniach gdy



# Dwa listy

## Donos

Szanowny Panie Redaktorze!

Doszedłem do wniosku, że muszę opisać stosunki, panujące w naszym zakładzie. Pan Redaktor wie doskonale, jak dużo zależy od głowy, a właśnie głowa naszego zakładu pozostawia dużo do życzenia. Jednym słowem jest to człowiek mierny, do tego otacza się ludźmi sobie pokrewnymi, czyli miernotami. Jedno, co można zapisać na jego korzyść, to to, że jest dobrym organizatorem. Zorganizował całą siatkę ludzi, którzy mu są oddani lub których, z tych czy owych powodów, trzyma po prostu w ręku. Donoszą mu oni skwapliwie o każdym, któremu coś się u nas nie podoba. Takiego dyrektor szybko się pozbywa, wykazując przy tym dużo pomysłowości. Nieraz tak sobie myślę, że gdyby tę pomysłowość zwrócił w kierunku rozwoju naszego zakładu, byłby to przodujący zakład w kraju. Splawiając swych (często zresztą domniemyanych) przeciwników, dyrektor stosuje całą skalę chwytów, zależnie od osoby i przypadku. Dawniej posługiwał się najprostszą metodą, to znaczy stawiał na kolektywie zarzut, że postawa danej osoby jest niezgodna z linią partii. To oczywiście wystarczało. Ostatnio zmienił metodę i „załatwił” swego antagonistę w ten sposób, że zarzucił mu publicznie, iż nie odpowiada mu nowe kierownictwo i proces odnowy. W bardziej złożonych przypadkach, kiedy ma do czynienia z poważniejszym przeciwnikiem, „rozpracowuje” go etapami, dając tu i ówdzie dyskretnie do zrozumienia, że gość robi jakieś fuchy, małe szwindle, że on wprawdzie tego nie stwierdził, ale tak mówią ludzie, a jeśli tak mówią, to — coś w tym jest. Powoli wokół gościa narasta odpowiedni zapaszek, a rzecz kończy się z reguły tym, że gość nie wytrzymuje nerwowo i zwalnia się z pracy „na własną prośbę”.

Oddzielny rozdział to pracujące u nas kobiety. Dobiera je oczywiście sam dyrektor, kierując się nie tyle ich kwalifikacjami, co tak zwanymi walorami zewnętrznymi. Dalszego ciągu łatwo się Pan domyśli. Jeśli któraś z pracownic „trzyma te walory dla siebie”, nie udostępnia ich dyrektorowi — wszystko dzieje się jak wyżej. Zwłaszcza, że dyrektor ma pod ręką zarzut o braku kwalifikacji.

Jak więc Pan widzi, nasz dyrektor to człowiek „pomysłowy”. Mam nadzieję, że Pan Redaktor zechce zająć się stosunkami w naszym zakładzie i poświęci im jakiś artykuł bądź reportaży.

Kreślę się z poważaniem —  
(Podpis nieczytelny)

PS.: Gdyby Pan miał kłopoty z ustaleniem, kto jest autorem niniejszego listu, służę wyjaśnieniem: to właśnie ja jestem owym dyrektorem. Dziwi się Pan, że piszę donos „sam na siebie”? Sprawa jest prosta: dotychczas pisałem na innych, więc teraz, idąc z duchem czasu, postanowiłem być postępowy. Sądzę, że Pan Redaktor to odpowiednio doceni.



Rys. E. Ingłot

## Oferta

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym na wstępie wyjaśnić, że moja oferta nie jest ofertą matrymonialną, bo na pewno jest Pan żonaty. O ile jednakowoż pragnąłby się Pan rozwiść, chętnie służę w charakterze świadka. Mam już w tym kierunku doświadczenie, na sprawę ubieram się bardzo ładnie, co mogą poświadczyc moje znajome, no i oczywiście odwiezdam przedtem fryzjera, więc robię zawsze dobre wrażenie.

Niech Pan tylko nie myśli, że jeśli dbam o włosy, zaniedbuję samą głowę. Wręcz przeciwnie, jestem bardzo czytana, pręnumeryję stale „Przyjaciółkę”, „Kobietę i Życie”, kupuję też miesięcznik „Ty i ja”, choć jest on dosyć drogi. Ale pracuje na mnie mąż, więc nie mam z tym specjalnych kłopotów.

Właśnie ostatnio przeczytałam w tym miesięczniku artykuł o kryzysie instytucji małżeństwa, i pomyślałam sobie, że może Panu zagraża też taki kryzys. Artykuł jest bardzo mądry (nie chwalebny, ale czytuję tylko mądre artykuły), oparty na wypowiedziach francuskiego psychiatry, pana doktora Muldworfa, który musiał sam dużo przeżyć, a jeszcze więcej zbadać, bo powiada tak:

„Trudności, jakie wylania życie we troje, zawsze są poprzedzone trudnościami życia we dwoje. Można więc przyjąć, że jeżeli ktoś podejmuje inicjatywę zdrady, czyni to dlatego, ponieważ jego małżeństwo nie zadowala go. Być może dokonał złego wyboru. Wiadomo, że mało jest ludzi, którzy kochają się tylko raz w życiu”.

Przypuszczam, że jest Pan człowiekiem uczuciowym, i że mógł Pan się zakochać, albo może zakocha się Pan na wiosnę. Nie myślę zaraz o zdradzie żony, o nie, chociaż to, co powiada dalej pan doktor Muldworf, daje dużo do myślenia. Bo mówi on dalej tak:

„Są zdrady małżeńskie, które można w ten sposób tłumaczyć: ktoś nie jest szczęśliwy, szuka gdzie indziej, znajduje i ma rację. Więc małżeńska często pęka dla-

tego, że protagoniści (jakie ładne słowo — dopisek mój) nie prze-myślą na trzeźwo, czego mogą się spodziewać od partnera i co mogą mu ze swej strony dać. Niezgoda w większości wypadków rodzi się z braku takiej więzi”.

Oczywiście życzę Panu, żeby Panu takiej więzi nie brakowało. Przypadki chodzą jednak po ludziach, a że redaktor też człowiek, piszę do Pana niniejszą ofertę. Kwalifikacje na świadka mam bardzo dobre. Pamiętam zawsze tylko to, co trzeba. Kiedy trzeba, to i coś dodam od siebie. Jeśli coś słyszałam, a nie powinienam słyszeć, to z miejsca zapominam. Jeśli czegoś nie widziałam, a powinienam zobaczyć, to zaraz przypominam sobie, że zobaczyłam. Raz wprawdzie sędzia powiedział na sprawie, że lepszy mam wzrok, niż słuch, ale to nieprawda, bo słyszę też bardzo dobrze (zaświadczenie laryngologa w załączeniu).

Chętnie też służę Panu w razie potrzeby adresami innych świadków, których poznałam na sprawach rozwodowych. Z jedną panią to nawet się zaprzyjaźniałam, choć z początku miałam do niej pretensję, bo przyszła do sądu lepiej ufrizonowana ode mnie. Ale potem przekonałam się do niej, bo mamy ze sobą wiele wspólnego. Ona też zeznaje zawsze tak jak trzeba i bierze ze sobą męża na drugiego świadka. Ten mąż początkowo się wzbraniał, ale to taki domorosty donżuan, który próbuje uwodzić koleżanki żony i nigdy mu się nie udaje, a te koleżanki to zaraz jej o wszystkim donoszą. Więc ona ma go w ręku i on jest jej we wszystkim posłuszny. Tej sztuki to nawet uczyć się od niej, bo mój mąż to znowu często pije, a gdzie wódka, to wiadomo, że i kobiety. Ostatnio to nawet się zakochał i coś zaczyna pleść o rozwodzie. Ale po każdej sprawie, w której zeznają jako świadek, mina mu rzędnie, bo wie, że nie poradzi sobie z tak doświadczoną sędownią kobietą. A już gdybym wystąpiła na sprawie Pana Redaktora, on nigdy nie wystąpi o rozwód.

Jak więc Pan widzi, możemy upiec na jednym ogniu dwie pieczenie. Dlatego jeszcze raz polecam swoje niezawodne usługi. Kreślę się z szacunkiem i znajomością paragrafu —

„Przyjaciółka”

PS.: Nazwisko i adres podaję do wyłącznej wiadomości Pana Redaktora.

JERZY JARMOŁOWSKI

Z SONETÓW SOBIECHAMSKICH

## dojony

czymże mi mili z wami się ugadzać  
wadzić o słowa żreć o słów potknięcia  
miał wódki skubać trawę na przyjęciach  
paniom nie w trawie a w mowie dogadzać

co mi tu taki niejaki w pretensjach  
co cye poezji od guseł okadza  
dziwi że mleko w tym cycu ca ca ca  
toć krowę doję nie krowie pojęcia

a taką krowę żeby w locie widzieć  
by była lekka niczym z ptaka zdjęta  
wpierw bliźnich kochać trza lub nienawidzić

że mi z lebiody człapie w sonet śliczna  
pozwalam sobie bliźnich nie pamiętać  
tyle że krowę doję w rękawiczkach

## połajany

e wierszydelka gdzieście wy moje są  
gdzież wam w gościń do tych dętorzniętych  
w obróżki białe po grdyki upiętych  
wy ptaki niebieskie — po grzyba wam to

nam by się chciało niczym róże cięte  
błyszczyć na stole i w światłach igrać lżą  
i by mówiono — o to one są  
i by nas w brzyzi jakoweś zaklęto

o żesz wy — wy gnojki w sylaby plute  
o żesz lby po pięty w sonet zakute  
wam choć w półmisku by na stole leżeć

o wy nieptaki kapłony wy kury  
no a po kiego do literatury  
— do mnie sraluchy za pazuchą siedzieć

## pchloosławiony

no i dobra że ja kuśtyków sławię  
i byle tajzę w sonety zabieram  
w nich każda pchła się jak dama rozbiera  
i za to pchły mnie w niebie błogosławia,

błogosławiony niechaj się wyciera  
skoro pogoda w wycierucha sławie  
przyjazne niechaj mu będzie w zabawie  
i to co żywe i to co umiera

no i dobre — pchły mi na pogodę  
że po wersetach chroniąc mrówki chore  
tyle się bawię co pytam o drogę

tyle wiersz piszę co mięwam humory  
i w każdej szparze istnieć sobie mogę  
bom jest żywiołka — a wy co basiory

RYSZARDA KRYSZYN

## Podanie

Przezroczystość słowom  
Przezroczystość skórze  
Małość rzecom małym  
podeszwoom aksamił mostów  
dajcie

Zabierzcie powietrze od twarzy  
Zabierzcie przestrzeń od twarzy  
Odwińcie nasze drogi  
O zabłąkanie w leśnej brwi móż, pamięć psia,  
O adresata, lub program ziarenko  
na użytek codzienny,  
łaskawie proszę.

## Pożegnanie

Odwróciłeś ku mnie  
żółć stołca  
dusznosc czerni  
sznur wiatru  
kamień wody  
ciasnotę powietrza  
Padają kroki  
cichsze  
cichsze...

# BUKIET KWIATÓW WONNYCH

## WSZYSTKO O TATRACH

Książkę Włodzimierza Wnuka\*) można właściwie nazwać przewodnikiem po Tatrach. Z poprawką jednakże, iż jest to przewodnik po historii Podhaja. Wnuka interesuje literatura faktu, konkretne zdarzenia i postacie — wywodzące się z Podhaja, lub wrosnięte w tę skalistą scenę.

Jest więc w książce Włodzimierza Wnuka piękna opowieść o góralskim chłopcu, o jego trudnej drodze do nauki, do sławy... Bówiem ten chłopiec to nikt inny, jak dr Andrzej Chramiec. Są piękne karty o księdzu Stolarczyku, którego zdążyło już uwiecznić co najmniej tużni pamiętnikarzy, ale który we wspomnieniach Wnuka staje się postacią pełniejszą, żywszą i prawdziwszą.

W części „Ku Tatom” zawiera autor sylwetki ludzi, którzy ku Tatom przywodowali, których ukochali Zakopane i wrosli w tę glebę, niektórzy aż po grób. Są to spotkania z Sienkiewiczem i Zeromskim, Tetmajerem i Makuszyńskim.

Mało kto wie zapewne, że w roku 1918 prezydentem Rzeczypospolitej Zakopiańskiej był nie kto inny, jak... Stefan Zeromski. Piękna i ciekawa jest opowieść o tetmajerowskiej Marynie z Hrubego, czyli o Marii Pallder. Wzruszające są strony poświęcone Makuszyńskiemu, któremu Związek Górall nadał tytuł Honorowego Gazdy...

W sumie dwa tomy wspomnień Włodzimierza Wnuka, zebrane w jeden spory tom, są pięknie i ciekawie napisaną historią Zakopanego i ludzi z nim związanych.

J. W.

\*) Włodzimierz Wnuk „MOJE PODHAJE — KU TATOM”, Wyd. PAX, cena 50 zł.

Przyznaje, iż zadumałem się ogromnie, ujrawszy tomik o skromnym tytule — „Wiersze białoruskie”. Owszem, wieści dotarły do mnie może rok, a może trochę więcej temu o pracy Jana Huszczy nad antologią poezji białoruskiej. Z tym większym zainteresowaniem przystąpiłem do lektury — przyznajmy, starannie — wydanej książeczki.

Jeżeli przypomnę o ścisłym sprzężeniu efektu twórczego, powiedzmy — autora ze stopniem zafascynowania się tematem — czynię to li tylko na marginesie. Jednakże odczuć tej prawdy w wypadku antologii, towarzyszy do ostatniej łazy i dlatego nie mogę uwolnić się od tej właśnie, pozornie tylko prostej uwagi. Pozostaje ona bowiem w ścisłym związku z omawianą pracą. Ale i tak daleki jestem od prawdy, którą chciałbym wypowiedzieć. Całą prawdą jest oczywiście wybór wierszy i towarzyszące mu opracowanie. Pewną prawdą niech będzie i to, że dopiero w trakcie czytania „Wierszy” zrozumiałem strofę Witolda Zechentera — „Kto zbadał Huszczy litewskich przepastne satyry”...

Zbadał na pewno dużo. Ale czy tylko zbadał? Gdyby do tego miała ograniczyć się rola Jana Huszczy — nie sądzę aby w ogóle podejmował się pracy: z wielu względów, o których niżej, nie przychodziło mi łatwo chłodne wyważenie, co z twórczego dorobku poetów białoruskich ma uwzględnić, a co z konieczności odrzucić. Zapewne ta strona pracy Autora antologii wymagała największego wysiłku i rozważa. Zarazem ona mogła stanowić największe niebezpieczeństwo zachwiania proporcji w doborze materiału poetyckiego. I nie tu nawet leży główna trudność, że Autor nie mógł korzystać z żadnych wzorów; że antologia poezji białoruskiej na gruncie polskim jest pracą o charakterze precedensowym. Twierdząc, iż niebezpieczeństwo pewnego subiektywizmu tkwiło głęboko w samym Autorze wyboru. Jest on bowiem sam poetą, o dawno sprezywanym smaku estetycznym i wyraźnie indywidualnym warsztacie twórczym. Nie bez wpływu na antologię jako całość mógł być także fakt, iż Huszcza jest sam znakomitym tłumaczem poezji, nie tylko zresztą białoruskiej i autorem przekładów 109 wierszy uwzględnionych w wydanym wyborze. Aczkolwiek zamieszczony spis tłumaczy wymienia 30 głośnych nazwisk, nawet ten fakt mógł zaledwie pozorować reprezentatywność dobranej materii. Owzbieg okoliczności, które określam tu jako obiektywne niebezpieczeństwo powstałe już u progu pomysłu opracowania wyboru „Wierszy”, zawisł w przestrzeni, dostrzeżony i szczęśliwie przez Huszczy ominięty. Tym samym jest to jedna z niebiałych stron pionierskiej pracy, jakiej podjął się Huszcza i doprowadził z

wyraźnie określoną koncepcją i dyscypliną metodologiczną do końca.

Czyż trzeba w tym miejscu podkreślać, iż jest to praca ze wszech miar pożądana, sugerująca zarazem potrzebę kontynuowania wysiłków łódzkiego środowiska twórczego w kierunku podobnych opracowań — chyba nie tylko poezji, także innych narodów — najcenniejszego dorobku literatury — ukraińskiej, litewskiej, gruzińskiej, azerskiej, niemieckiej i innych?

Łódź — jako znaczący ośrodek twórczy ma w tym względzie już poważny dorobek i tradycje. Dlatego — jak sądzę — „Wiersze białoruskie” nie mogą być traktowane jako zjawisko przypadkowe. Przeciwnie. Jest to raczej wyraz dość określonej tendencji, czy też kontynuacji koncepcji tego środowiska w kierunku wzbogacania kultury pol-

skiej także tą drogą; działania na rzecz nie deklaracyjnego, lecz autentycznego wypracowywania plaszczyzny porozumienia między narodami. Wiodącą rolę w owych procesach — jak wiadomo — spełnia Kultura i Sztuka.

Skoro jesteśmy przy środowisku, to sukces Jana Huszczy — acz bezspornie indywidualny — należy ocenić jako ważne osiągnięcie całego środowiska literackiej Łodzi. Zwłaszcza, że pod wieloma wierszami odczytujemy znane nazwiska łódzkich pisarzy — Tadeusza Chrościewskiego, Konrada Frejdlicha, Jana Koprowskiego, Józefa M. Kononowicza, Wasyla Kocznowa, Igora Sikiryckiego, Mieczysława M. Szargana.

Wreszcie skupienia wymaga — skąd wywodzi się sam pomysł opracowania i wydania antologii. Czym

jest ona dla Jana Huszczy jako poety i pisarza. Nie wydaje mi się, iżby miał to być rezultat rachunku. Jeszcze jedna pomyłka. Takimi kryteriami prawie nigdy nie kieruje się szanujący się pisarz, a tym bardziej tak zasłużony dla literatury polskiej. Sądzę, że powodów należałoby doszukiwać się raczej w sferze nośników mniej racjonalnych, czy — jak kto woli utylitarnych, w gruncie rzeczy dalekich ludziom sztuki, a zwłaszcza jej twórcom. Ołóż, dla Jana Huszczy wybór poezji białoruskiej był refleksją poetycką; wycieczką i przegodą w czarowny świat dzieciństwa spędzonego w specyficznej atmosferze mikroklimatu kulturowego polsko-białoruskich realiów małej ojczyzny poety; jest westchnieniem do własnej młodości i przyrody białoruskiej. Mowa białoruska zakłęta w poezji białoruskiej akompaniowała muzyką, harmonią dźwięków i spokoju nie dawała wtenczas gdy tłumaczył i wówczas gdy dobierał, wyważał, w skupieniu pracował. Marzyły Mu się czasy —

„Kiedy w lesie zakwitły czeremcha z kalina —  
Złote sny się układały nam z tobą  
dziewczyno...”

Kiedy żyło kłosało, bo być tak  
powinno, nam się z tobą co  
dzień chciało całować dziewczyno”.

Sniły mu się „Pieśni zimy”, bo

„W tych swobodnych przemianach,  
W tym wszystkim, co mrozy rysują,  
Jest młodość zapomniana —  
O niej pieśni z serca snują”.

Trudno o ścisłość w jakim stopniu wypowiada się w tych strofach Janka Kupala, a w jakim sam Huszcza jako tłumacz. Podobnie jak w „Królu wężów” Maksima Bohdanowicza:

Mroczno. Mech. Sosny. Świerki.  
Kora,  
Śmierć wnet u mnie się rozgości...  
Rozplomię się, wieczorna zorzo,  
Mgliste rozjarz wyczości.

Gdy umrę, to mi pierś przyniósł  
Warstwą gliny. Wspiąć się trzeba,  
Aby wysunąć z krzaków głowę,  
Jeszcze urzęd trochę nieba.

Rozumiem, że autorem wiersza nie jest Huszcza, a mimo wszystko, raz po raz chce się o tym przypomnieć i powtórzyć: „rozplomię się”, Panie Janie! — Wieczorna zorza świeci Panu weselej o wiele i na bardzo dużym niebie...

Antologia — to „wybór, bukiet najpiękniejszych, najlepszych utworów danej literatury, epoki czy zakresu tematycznego”. W opracowaniu Huszczy, jest to bukiet kwiatów wonnych złożony w podzięk Białorusom i ich kulturze — za czas miniony; za dobre lata. Mimo smutnych akcentów (nie wszędzie przecież) — jest uśmiechem i poetycką zadumą; chyba nie tylko nad przemianami.

Antologię otwiera starannie opracowana przedmowa. Wyborowi towarzyszą — „Noty o autorach i tekstach” oraz spis tłumaczy. Opracowania dadzą polskiemu czytelnikowi wystarczające informacje, niezbędne dla wyrobienia — chyba więcej niż tylko pojęcia — o poezji, wyjątkowo sympatycznego i historycznie zaprzyjaźnionego z nami narodu.

\* Wiersze białoruskie. Wydawnictwo Łódzkie 1971, str. 275, zł 35, Wybrał, opracował i przedmową opatrzył Jan Huszcza.



Rys. A. Grun

## Przeszłość i terażniejszość

„Ten dziwny twór polityczny jakim było Wolne Miasto Gdańsk — pisze dzisiejszy historyk — sprzyjał narastaniu konfliktu polsko-niemieckiego. Stało się ono terenem ścierania się interesów dwóch państw. Za dążeniami strony polskiej do obrony przyznanych praw do tego miasta przemawiały głównie racje historyczne i gospodarcze. Niemcy natomiast, aczkolwiek oficjalnie zrzekli się do niego praw, będą posługiwały się argumentami etnograficznymi i politycznymi. Dla Polski Gdańsk był przede wszystkim naturalnym portem morskim, którego rozwój od wieków był z nią związany. Dla Niemiec pod względem gospodarczym był tylko jednym z kilku portów, nie wykazywał nawet tendencji rozwojowych. Natomiast pod względem politycznym w związku z odradzającymi się tam nastrojami rewizjonistycznymi i odwetowymi stanował ważny bastion osłaki „Drang nach Osten”,

Nie ulega wątpliwości, że wszechstronne wyjaśnienie roli W. M. Gdańska w stosunkach politycznych międzywojennego okresu nie jest możliwe bez wnikliwego zbadania działalności przedstawicielstwa rządu polskiego, mianowicie dwudziestu lat pracy Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej. Zadania tego podjął się gdański historyk Stanisław Mikos w ogłoszonej niedawno przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1971) monografii opatrzonej przydługim tytułem: „Działalność Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku 1920 — 1939”. W świetle jego badań w działalności Komisariatu można wyróżnić dwa zasadnicze okresy. W pierwszym, który zamyka ustąpienie H. Strasburgera ze stanowiska Komisarza (lutego 1932), przedstawiciele polskich władz państwowych w Gdańsku przejawiali w swej pracy pewną samodzielność polityczną, w

drugim — kiedy ster polskiej polityki zagranicznej dzierżył J. Beck — inicjatywa w sprawach gdańskich przeszła w całości w ręce Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które rozpatrywa-

do wysuwania coraz nowszych żądań i rozuczulała senat Wolnego Miasta, bynajmniej nie pragnący zgodnej współpracy z państwem, które niemiecka propaganda uważała za twór „sezo-

Dążenie wreszcie do stabilizacji wzajemnych stosunków, które reprezentował H. Strasburger, poszukujący oparcia nie w gdańskich kołach politycznych, lecz przede wszystkim w sferach gospodarczych, zainteresowanych w kontaktach z Polską i stanowiących opozycję w stosunku do senatu dawała rezultaty jedynie połowiczne. Wobec wzrostu nastrojów nacjonalistycznych w 1929 r. „któremu ówczesne władze (gdańskie) nie potrafiły się przeciwstawić” Komisariat był zmuszony zaostriżyć swoją politykę wobec Wolnego Miasta.

Kolejni Komisarze Generalni R. P. — K. Papee i M. Chodacki — jak tego dowodzi S. Mikos — nie reprezentowali już własnych koncepcji politycznych nawet w ramach tych kompetencji, jakie im przysługiwały. Spory z Gdańskiem zostały w latach trzydziestych zastąpione pertraktacjami na linii Warszawa — Berlin. Tymczasem zwolennicy hitleryzmu, których było coraz więcej w Wolnym Mieście, przeprowadzali „gleichschaltowanie” jego struktury na modłę niemiecką. Dokony-

wało się ustawiczne łamanie umów polsko-gdańskich i ograniczanie praw Polski. „Sytuacja, jaka się wytworzyła w Wolnym Mieście — podkreśla historyk — wynikała ze wzrostu znaczenia politycznego Niemiec na arenie międzynarodowej i niekorzystnego dla Polski układu stosunków międzynarodowych (pakt czterech). W niemalym stopniu na sprawach gdańskich zaważyła też polityka pobłażania państwa zachodnich wobec rewizjonistycznych nastrojów w Niemczech, okazywanie im nawet dużej pomocy, a także niekorzystnie układające się stosunki polsko-radzieckie, które spowodowały, że Polska znalazła się bez sojuszników”. Stosunki polsko-gdańskie, mimo wszystkich taktycznych gestów ulegały stalemu zaostrzeniu. Jakże były skutki — o tym dobrze wiadomo.

Czytam książkę S. Mikosa z żywym zainteresowaniem i myślę, że potrzeba nam jeszcze wiele podobnych prac o politycznych dziejach międzywojennego dwudziestolecia. Zbyt mało wiążę wiemy o tamtych czasach.

JOZEF GRZELAK

## KOMISARIAT GENERALNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

to je w perspektywie całości kształtu stosunków polsko-niemieckich. Historyk polityczny staje się niekiedy surowym krytykiem polityki i nie dziwimy się S. Mikosowi, że odnosi się on bardzo krytycznie do kolejnych etapów działalności Komisariatu. Prowadzona przez M. Biesiadeckiego polityka ustępstw i koncesji, mająca na celu pozyskanie władz gdańskich dla współpracy z Polską prowadziła jedynie

„do wysuwania coraz nowszych żądań i rozuczulała senat Wolnego Miasta, bynajmniej nie pragnący zgodnej współpracy z państwem, które niemiecka propaganda uważała za twór „sezo-

# O malarstwie Eugenii Skwarczewskiej



E. SKWARCZEWSKA — „FRAGMENT ZAMKU” (olej).

Fot. G. Puciato

Człowiek, który maluje obraz...  
Człowiek, który na obraz patrzy...  
Czas dzisiejszy skomplikował, poplątał

w węzły gordyjskie problemy twórczości i percepcji. Pochłonięty formalną ekwi-librystyką zagmatwał jeszcze bardziej

sprawy, które i tak nigdy nie należały do łatwych. Celowo spiętrzając filozofię i teorię — bo gdzie trzeba szukać usprawiedliwienia! — strywalizował, zdegradował do nic nie znaczących dźwięków słowa takie, jak piękno, natura, harmonia... Powołując mity bez archetypów zniszczył mity prawdziwe, którymi karmiły się całe pokolenia. Dziwny, rozhisteryzowany czas blyszczących, zwielokrotnionych mechanicznie fetyszy. Dziwny i dla tych, którzy tworzą i dla tych, którzy pragną patrzeć, odczuwać, pojmować. Dziwny, niezrozumiały często, często krzywdzący i okrutny czas przelomu, czas pogranicza.

Dziś wielu mówi, iż obraz sztalugowy jest reliktem minionego, iż płótno, olej, pędzel przynależą bezpowrotnie do czasów manufaktury i nie mogą być instrumentami współczesnego artysty. Tak mówi wielu, a mówią to głośno, tak głośno, iż trudno usłyszeć innych. No, cóż. Człowiek zawsze pragnął nowego, ale też sztuce nie można narzucić żadnych norm, nakazów, obowiązków, środków i form wyrazu, krom tych, które ona sama uznaje za własne i konieczne. Jest bowiem ona jak mustang, dzika, zrzuca z grzbietu każdego niepewnego jeźdźcę. Nade wszystko żąda tolerancji i swobody, zaś wielkość jej, jej tajemna siła tkwią w jej ogromnym bogactwie, w różnorodności.

Tysiące twarzy ma sztuka. Każdej z nich trzeba przyglądać się bacznie, z uwagą, bo jest przecież twarzą człowieka, który żyje lub żył kiedyś. Więc obok ludzi i sztukę nie warto przechodzić obojętnie.

Eugenia Sulżyńska-Skwarczewska ukończyła najpierw studia w Wyższej Szkole Architektonicznej w Petersburgu, a po I wojnie światowej studiowała na Wydziale Sztuk Pięknych Wileńskiego Uniwersytetu im. Stefana Batorego w pracowniach znakomitych pejzażystów — Ferdynanda Ruszczyca i Ludomira Sienkiewicza. Jest członkiem grupy „Zachęta”. A więc malarstwo Eugenii Skwarczewskiej jest naturalistyczne, czasem bliskie naturalizmowi, konwencjonalne w formie i tematach, które podejmuje. Ale taka charakterystyka nie wiele nam mówi o istocie tego malarstwa. Trzeba raczej powiedzieć, że malarstwo Eugenii Skwarczewskiej jest malarstwem afirmacji świata i spokoju. Malarstwem akcen-

tującym to, co widzą oczy, co kocha serce kobiety. Ale oczy malarzy nie widzą wszystkiego, nie dostrzegają brutalności, brudu, plwociny, tego całego kolosalnego śmietnika, jakim w rzeczy samej jest świat. Nie widzą tego, obracają się ku malowniczej architekturze starych zaułków, ku wnętrzą kościołów wibrujących światłem, barwionym taflami witraży, ku łąkom kwiatowym i pachnącym, cichym jeziorom, ku ludzkim twarzom, dobrym, pogodnym. Czy nie widzą wszystkiego, a może raczej nie chcą widzieć, bo zbyt długie było życie i wiele niosło z sobą bolesnych doświadczeń. Może po prostu, Eugenia Skwarczewska wyczuwała intuicyjnie, a dziś wie na pewno, że nie warto schylać się nad śmietnikiem, że dobrze jest twarz podnieść wysoko ku chmurom, wierzchołkom drzew, strzelistym wieżom kościołów. Że nie ma jednej prawdy, że jest ich wiele, a raczej, że prawda jest kryształem wielobocznym. A artysta musi znaleźć swoją płaszczyznę i swój wierzchołek, z którego będzie tę płaszczyznę obserwował.

Jest ponadto w malarstwie Eugenii Skwarczewskiej coś, co sprawia, że obraz jej emanują z siebie ciepło, coś, co jest niemożliwe do nazwania, a co przyrównać można jedynie z ruchem matczynej dłoni nad łóżeczkiem dziecka. Tak ona schyla się nad fragmentem pejzażu, nad martwą naturą z jablek, nad wazonem kwiatów. Kobięca tkliwość, która usuwa wszelki dramat, każdy najdrobniejszy ślad tragedii. Zaprowadza porządek, ład. Cichnie wiatr, nieruchomieją gałęzie drzew, wygląda się tafła błękitna jeziora. Na płótna Eugenii Skwarczewskiej spływa spokój. I wtedy mały dworek z gankiem o białych kolumnach zdaje się być najpewniejszą przystanią. I choć w gruz obrócili się małe dworki z gankami wspartymi o białe kolumny i żadna przystań nie chroni od burzy, to łżej jest niejednemu sercu, gdy widzi na płótnie namalowany dom swojego dzieciństwa.

Na marginesie wystawy obrazów E. Skwarczewskiej, która eksponowana będzie na terenie Łodzi i województwa: w Tomaszowie Mazowieckim, w Muzeum w Piotrkowie Trybunalskim, w Muzeum Ziemi Wieluńskiej i w Muzeum Regionalnym w Pabianicach.

## POLONICA

ski. Antologia ta ukazała się w Bibliotece Okolicy Poetów jako tom 7.

(mwe)

### W RYDZE O POLSCE

Niebawem ukaże się druga „Antologia poezji łódzkiej” w opracowaniu Ł. Lewina i Z. Stoberskiego. Wydawnictwem tym interesują się również Łódzkie. W ostatnim ubiegłorocznym numerze tygodnika „Literatura i sztuka” (Literatura i sztuka) Rita Lugińska pisze o pierwszej „Antologii poezji łódzkiej” z 1938 r., omawiając interesujące szczegóły powstania antologii i jej znaczenie dla stosunków kulturalnych polsko-łódzkich. Przypominamy, że wydawcą i tłumaczem był Stanisław Czernik, a wstęp i przypisy napisał Stanisław Kolbuszew-

### DLACZEGO NIE POSPIESZYLI Z POMOCĄ POLSCE?

W Paryżu ukazały się dwie bardzo ciekawe książki historyczne, dotyczące pierwszego okresu wojny 1939—1945, od sierpnia 1939 do maja 1940. Nazwano ten okres terminem „śmiesznej wojny”, gdyż Francja i Anglia, zmobilizowane, pozostały jednak całkowicie bezczynne. François Fonville-Alquier, publicysta, polemista i moralista, w książce „Les Français dans la drôle de guerre” (wyd. Robert Lafont), uznaje tę bezczynność za oczywisty błąd polityczny i militarny. Winę przypisuje dyplomacji an-

gelskiej, słabej, czy niemal zdradzieckiej. Oskarża też „Piątą kolumnę” niemiecką i wewnętrzne rozdziewki w kierownictwie.

Bardziej ostrożne jest zdanie zawodowego historyka, profesora Henri Michela, który poświęcił dziejom II wojny światowej wszystkie swe dotychczasowe wysiłki badawcze. W książce pt. „La drôle des guerres” mówi prof. Michel na podstawie zbędnych archiwów, iż aliancom chodziło zrazu o „przeczekanie”. Dążyli do tego, by zmienić stosunek sił, ich zdaniem początkowo dla nich niekorzystny. Działała tu pewna analogia z I wojną światową. Błąd polegał na tym, że przewaga niemiecka nie była, zdaniem prof. Michel, tak oczywista, jakby się mogło wydawać, nawet w dziedzinie zaopatrzenia w benzynę. Natomiast „maszyna” przemysłowa niemiecka

działała lepiej. Na wiosnę 1940 roku premier Francji Daladier i gen. Gamelin nagle zmieniają opinię i chcą działać. Ale jest zbyt późno. To wszystko przemawia wymownie na korzyść Polski.

W.N.

### POECI ŁODZI — PO BIALORUSKU

Dalszym dowodem żywej wymiany i współpracy środowisk literackich Łodzi i Mińska jest ostatni, lutowy numer miesięcznika „Polymia”, gdzie w rubryce nowych przekładów zamieszczono dwadzieścia wierszy poetów, związanych biografiami, bądź tematyką utworów z naszym miastem. Znajdujemy więc tu wiersze, wymieniane w porządku alfabetycznym, Tadeusza Chrościelewskiego, Stanisława Czernika, Tadeusza Giegiery, Jana

Huszczy, Macieja Józefa Kononowicza, Jana Koprowskiego, Antoniego Kasprowicza, Mirosława Kizniaka, Igora Sikryckiego, Mieczysława Szargana, Bernarda Szajnerta, Grzegorza Timofiejewa i Juliana Tuwima. Przekładów dokonali znani poeci białoruscy: Mikola Arocza, Rychor Baradulin, Danuta Biezel-Zahnetawa, Siarhiej Dzarha, Nii Gilewicz, Uładzimir Karatkiewicz, Aleg Łojka, Nina

Maclasz, Piatrusz Makał, Rychor Siemaszkiewicz, Jacek Siemiążon i Wasyl Witka.

Jak nas informował członek delegacji pisarzy radzieckich na XVIII Zjazd ZLP, wybitny poeta Maksim Tank, obszerna antologia poezji Łodzi jest już przygotowana do druku.

mk.

## POLONICA



Doc. dr BARBARA WACHOWSKA

# PÓŁ WIEKU MŁODZIEŻOWEGO RUCHU KOMUNISTYCZNEGO W POLSCE

Ruchowi robotniczemu od samego momentu jego narodzin, towarzyszyła ogromna aktywność rewolucyjnej młodzieży. Jej obecność była wydatnie odczuwana w pierwszych komórkach partyjnych. Młodzi znaczyli swój ofiarny udział w łódzkim

buncie 1892 r., na barykadach ulicznych Łodzi podczas powstania czerwowego 1905 r. Wielu budowało w trudzie i samozaparcu partie robotnicze i prowadził rozpoczętą walkę. Do szeregów wstępowali nowi młodzi — entuzjaści, zapaleni, gotowi do poświęceń. Działali oni w kolach młodzieżowych SDKPIL,

PPSL, a od stycznia 1919 r. w KPRP.

Jednakże w miarę umacniania się ruchu robotniczego, krzepnięcia jego rewolucyjnego skrzydła coraz większego znaczenia nabierały nie tylko postulaty wspólne dla całości ruchu, ale i specyficzne dla jego poszczególnych środowisk. Coraz czytelniejsze i bogatsze stawały się żądania młodych. Rodziła się nieuchronnie potrzeba utworzenia samodzielnej młodzieżowej organizacji rewolucyjnej. Kierownictwo partii komunistycznej wyszło na przeciw tym potrzebom i zaleciło jej budowę. Prace rozpoczęły się jesienią 1920 roku.

W Łodzi było to po burzliwej demonstracji 1-majowej, w której czynnie uczestniczyła młodzież komunistyczna. Mnożyły się wypadki kolportażu literatury politycznej, zawieszania sztandarów, rozlepiania odezw. Oweczesne władze spostrzegły, iż w głównej mierze było to dziełem młodzieży robotniczej. Na nią też posypały się aresztowania.

Aresztowania te jednak nie zatrzymały prac przygotowawczych i organizacyjnych nad tworzeniem młodzieżowej organizacji. W poszczególnych fabrykach skupiona w kolach młodzież komunistyczna podejmowała walkę o prawa dla młodych robotników. Wybierała swych delegatów, przystępowała do strajków. Znani byli ze szczególnej

aktywności młodzi z fabryk Rosenblata, Rubina, Szwarca i innych. Formowali oni także kółka młodzieży komunistycznej przy związkach zawodowych, z których nader aktywne powstały przy związku krawców, szewców, włóknarzy a także metalowców. W oparciu o te kółka powoływano następnie do życia sekcje młodzieżowe w organizacjach związkowych.

W 1921 roku uwidocznił się także wzrost aktywności łódzkiej młodzieży szkolnej. Uczniowie starszych klas gimnazjalnych również tworzyli kółka, włączając się w szerszy nurt działalności politycznej. W Łodzi kółka takie miały już za sobą bogatą tradycję. Wyrosło w nich wielu wybitnych później działaczy KPP, jak Witold Kolski, Salomon Jaszunski i inni. W 1921 r. obaj już studenci, pierwszy Uniwersytetu Warszawskiego a drugi lwowskiego, utrzymywali żywą więź z kółkami „Młoda Komuna”. Działalnością tą kierował tutaj Józef Konecki ps. „Leon Rozin”, a w grupie najbardziej czynnych współorganizatorów kół młodzieży komunistycznej byli — Zygmunt Kowalski ps. „Antek”, Jan Gutner ps. „Gucio”, Czesława Orłowska i inni. W procesie tworzenia zgrupowań organizacji, okrępała w Łodzi grupę aktywną, świadomą niebezpiecznych konsekwencji swych po-

czynna, dla której sens życia zawierać się zaczął w walce.

Już lipiec, a następnie październik 1921 r. przyniósł jej pierwsze ofiary, do więzienia dostali się m. in. Stanisław Sokolowski, Bolesław Lutos, Siemion Szajnhauser. Działalność trwała jednak nadal. Pod koniec tego roku Łódź nawiązała kontakt z młodzieżą Ozorkowa, Piotrkowa i Pabianic. W tych ostatnich od szeregu lat działali bracia Konstanty i Aleksander Graezerowie. W grudniu przedstawiciel tworzącej się organizacji łódzkiej brał udział w konferencji ogólnokrajowej w Warszawie, którą zwołał Komitet Organizacyjny. Obok Warszawy i Łodzi reprezentowane było Zagłębie, Białystok, Włocławek i Kraków. Obradami kierował Alfred Lampe ps. „Fredka”. Już wówczas konferencja zdecydowała powołać do życia Związek Młodzieży Komunistycznej. Miał on być organizacją ogólnopolską i stanowić sekcję Komunistycznej Międzynarodówki Młodzieży.

Po konferencji praca, nabrawszy znacznego rozmachu, weszła w ostatnie stadium. Połączona ona była z rozległą działalnością propagandową i agitacyjną. W okręgu przeprowadzano jednocześnie wybory delegatów na zjazd. W tej fazie prac wyrażały poczucie nowi, niezwykle ofiarni aktywiści i działacze jak A. Doliński, Marian Holdro-



**M**iedzynarodowy Dzień Teatru jest przede wszystkim dorocznym świętem Ludzi Teatru. W święcie tym uczestniczą wielbiciele i kibice Melpomeny. Obok uznania i wdzięczności, które wyraża się oficjalnie i prywatnie twórcom przygody scenicznej, rodzą się refleksje oceniające i podsumowujące wspólny trud aktorów, reżyserów, scenografów, kierowników i kadry administracyjno-technicznej teatrów.

Pisząc te słowa wiem, że dotrą one do „Adresata” grubo po 27. III. 1972 roku, to znaczy, po Jego święcie oraz po prasowym ujawnieniu spektaklu — zdobywcy „Srebrnej Łódki” i aktora — zdobywcy „Srebrnego Pierścienia”. Niestety, tygodnik nie może konkurować pod względem szybkości informacji z dziennikami, niemniej jednak i te, spóźnione, gratulacje pragnę przekazać tegorocznemu laureatom. Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi otrzymał Teatr Nowy za „Idiotę” Dostojewskiego w reżyserii Stanisława Brejdyganta i scenografii Henri Poulaina z muzyką Ryszarda Gardo.

Pierwszy „Srebrny Pierścień”, a więc historyczny bez mała, otrzymał Bogusław Sochnacki za kreację aktorskie sezonu „miedzyłódkowego” roku 1971/72.

Nie popelnę niedyskrekcji, jeżeli ujawnię, że zwycięstwo „Idioty” nie było łatwe i nie było bezsporne. Obok głównego konkurenta „Aktu przerywanego” — „Wilki” „Molier”, a także „Balkon” (wszystkie w Teatrze im. Jaracza) pretendowały do „Srebrnej Łódki”, znajdując uznanie u jurorów. Również „Wyzwolenie” (TZL), „Książę Marek” (Teatr Powszechny) były brane pod rozważenie.

Już z tego prostego wyciszenia wynika pewien wniosek o charakterze ogólniejszym: największą ilość ciekawych przedstawień dał w sezonie „miedzyłódkowym” Teatr Jaracza.

Nim dojdzie do dalszych wniosków, cofnijmy się nieco wstecz.

Były lata chude. Pisaliśmy wówczas i mówiliśmy (może nie wszyscy) prawdy gorzkie i niepopularne, nie zdobywaliśmy sobie sympatii teatrów pochlebstwami, bywało nawet, że głosiliśmy „herezje”, które dziś doświadczenie oraz nowy duch czasu weryfikuje. Na „przednówku” przeżyliśmy okres surowej krytyki, dotyczącej krytyki teatralnej, że albo oportunistyczna, albo stronnicza, że niekompetentna, albo akademicka. Równocześnie Teatr Nowy, z nowym kierownictwem formował swój modus vivendi, a nowy dyrektor Teatru Jaracza Jan Maciejowski, powiedział: „bijcie w nas, jeżeli będzie źle...” czy coś takiego, mając już chyba ambitną wizję artystyczną w „zanadrzu” i wiele odwagi w działaniu.

W sytuacji, gdy jeden teatr próbuje i wywala, a drugi, choć szybko, ale dopiero wzrasta, cóż począć? Ganić w zaraniu, czy chwalić na wyrost? A może poczekać z oceną teatru jako całości, z oceną koncepcji, charakteru, formuły artystycznej i oddziaływania na świadomość widzów?

Z tym ostatnim najtrudniej. Jest to zagadnienie niezmiernie złożone, nawet gdybyśmy potrafili w przybliżeniu określić tę świadomość (teatralną widzów). Tymczasem nie bardzo jeszcze wiemy, kim jest nasz widz teatralny i jakie są jego gusta, potrzeby i pragnienia. Czy rozpoczęto w tym kierunku badania? „Sonda” wykonana w Teatrze 7.15 na wciąż jeszcze żywym ciele „Trędowatej” wprowadziła niektórych ludzi teatru w popłoch,

gniewa Falińskiego, kierownika Wydziału Propagandy i Agitacji KL PZPR oraz głosy, które tam padały, potwierdzają powyższe.

Sugestie i propozycje jeszcze parę lat temu przyjmowane przez kierownictwa teatrów i pewną część środowiska z niechęcią i nieufnością, dziś stają się w głównych swych intencjach wyrazem zbieżności tendencji rozwojowych. Sezon „miedzyłódkowy” dał nie tylko parę wybitnych przedstawień i ciekawych

kreacji. W sezonie 1971/72 zarysowały się zasadnicze różnice w koncepcjach ideowo-artystycznych naszych teatrów i różnice w charakterze między poszczególnymi scenami. To samoprofilowanie się teatrów i scen ma swoją przyczynę w prostym fakcie odmienności zagadnień i odmienności sposobu, jakim kierownicy teatrów chcą te zagadnienia przekazać publiczności.

Przekonanie, że trzeba robić dobre przedstawienia, żeby robić

dobry teatr, jest chyba zawsze słuszne. Ale to nie wystarczy w mieście, gdzie jest kilka teatrów i dwa razy tyle scen. Prócz dobrego rzemiosła teatralnego potrzebny jest jeszcze język sceniczny, styl, na który składa się cały szereg elementów teatralnych, począwszy od doboru repertuaru, a skończywszy na doborze kadry reżyserskiej i zespołu aktorskiego i scenografów. Odwrotny proces, wydaje się, mniej sprzyja nie tylko stylowości sceny, lecz również możliwości nawiązania dialogu scena — widz, widz — scena.

Jest sposobny czas, żeby taki dialog został nawiązany, żeby poszczególne teatry zyskały sobie własnego i wiernego odbiorcę, wiedząc jakim językiem i na jakim piętrecie świadomości będzie się z nim mówić.

Chwała nas poza granicami Łodzi, radzą, żebyśmy nasze osiągnięcia oceniali i lansowali głównie sami. Jest to teza nie nowa i obecnie, gdy dobry początek zrobiony, nie wydaje się nierealna. To wszystko napawa otuchą i krzepi. Jest jeszcze wielu twórców, których udział w życiu teatralnym, a także w innych sferach kultury, jest uzależniony od stopnia osiągniętego porozumienia i dogadania się w sprawach wymiany wartości.

„Nie narzekania na stan dramaturgii, nie rozkładanie rąk, nie narzekanie na kłopoty repertuarowe tworzą nowe jakości artystyczne. Warunki sprzyjające ich narodzinom mogą powstać wtedy, kiedy teatrowi, każdemu z osobna, i teatrowi w ogóle, uda się wytworzyć wokół siebie atmosferę twórczego zainteresowania, wzajemnych, opartych o wspólne ideowo-artystyczne koncepcje, kontaktów ludzi teatru — dramaturgów, reżyserów, aktorów, scenografów i krytyków...”

No, cóż, nie dodać, nie ująć. Jak dotychczas jednak małe sceny, szczególnie Teatru Nowego, z trudem pokonują układy i schematy przeszłości, mając smutne doświadczenia. Sztuka, która „nie chwyci” i po paru przedstawieniach schodzi ze sceny, stwarza teatrowi wielorakie kłopoty, a szczególnie finansowe. Zakładając eksperymentalność repertuarową, czy inscenizacyjną jakiejś sceny, trzeba ją wyłączyć z ogólnych rygorów frekwencyjnych, uważając, że sukces artystyczny, a nawet tylko doświadczenia, uzyskane drogą analizy dramaturgicznej i scenicznej, przynoszą korzyść innym scenom i życiu teatralnemu Łodzi. Bez drożdży nie ma chleba. Bez ambitnych prób nie ma wielkiej sztuki.

Nie pierwszy raz zabieram głos w tych sprawach, a teraz już naprawdę, co starałem się w niniejszym uwypuklić, osamotniony nie jestem. Myślę, że samo życie, to znaczy siły twórcze i zapalające, a teraz rozbudzony w naszych teatrach, pozwolił im ustabilizować wysoki poziom ideowo-artystyczny z korzyścią dla widza i pożytkiem dla samych twórców i całej kultury polskiej. Tego im życzę z okazji Ich Święta.

ROMAN ŁOBODA

## Czas „miedzyłódkowy”

zaś głosiciele o nieteatralnej Łodzi zatriumfowali. Nie należy przeceniać tej „sondy socjologicznej”, ani drzeć szat z tego powodu, że na Mniszkówny „arcydzieło” wała tłumy, że bilety są już na trzy czy cztery miesiące naprzód wyprzedane. Można spierać się na temat, czy przez dwadzieścia parę lat stosowaliśmy najlepsze metody upowszechniania sztuki, niewątpliwie jednak jest, że „czar” „Trędowatej” działa jeszcze w różnych warstwach społecznych i różnych warstwach ludzkiej kory mózgowej mimo wszystko. Test „Trędowatej” niewątpliwie obnażył wstydlive polacie intelektu statystycznego odbiorcy dóbr niematerialnych, nie sądzę bowiem, żeby prawdziwych bywalców teatralnych zafascynowało coś więcej niż zwykła ciekawość lub perspektywa ubawu. Ubawu ponoć nie wiele, lecz sporo.

Nasuwa się pytanie: dobrze to, czy też źle, gdy szlachetny filantrop rozdaje biednym pieniądze zrabowane bogatym?

Dyrektor Teatru Jaracza, chce robić teatr dobry i ambitny, teatr, który już zaznacza swoją indywidualność i jest w okresie zdobywania określonej widowni dla sceny o określonym charakterze. Widz, który wie, co może znaleźć w teatrze, jest najcenniejszym widzem, nie można go jednak wprowadzać w błąd.

Casus „Trędowata” jest czymś w rodzaju splacania haraczu frekwencyjnego i kasowego. Czy tak musi być? Stawiam to pytanie w przekonaniu, że rozwiązanie tego zagadnienia nie jest łatwe. Jest jednak dobra atmosfera w teatrach i wokół nich. Ostatnia narada w KL PZPR dotyczyła właśnie problemu rozwoju scen łódzkich, zaś wprowadzenie do dyskusji wygłoszone przez Zbi-



Elżbieta Starostecka

Fot. W. Parys

wicz, Stanisław Brzeziński, nauczyciel ze szkoły przy ul. Rokicińskiej nr 29 którego wielu, zaczynających wówczas czynne życie polityczne, określił „duszą wszelkich poczyniań młodzieży komunistycznej”.

Zjazd odbył się w Warszawie 17 marca 1922 r. Uczestnicy wysłuchali sprawozdania Komitetu Organizacyjnego, które złożył A. Lampe. I sprawozdania z II Kongresu Komunistycznej Młodzieży Młodzieży Związku Młodzieży Komunistycznej w Polsce i nakreślił zadania w pracy polityczno — oświatowej.

Powstanie ZMK (od II Zjazdu w 1930 r. — Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej — KZMP) wywołało ogromną falę aktywności młodzieży.

Wystąpiła ona także w Łodzi. Związek się rozrastał i osiągnął stan 314 członków. We wrześniu 1922 r. liczył 18 kół robotniczych i 5 szkolnych. Kola posiadały od 8 do 10 członków. Organizacja ZMK powstała także w Piotrkowie, Kaliszu, Pabianicach, Ozorkowie, Tomaszowie, Łęczycy, Turku. Organizacja kaliska liczyła 25 członków, piotrkowska — 15 a pozostałe od 5 do 10 osób. Policja spostrzegła żywy kołportaż „Towarzysza”, „Głosu Komunistycznego”, „Czerwonego Sztandaru” oraz odezw i ulotek.

Powstanie Związku przyspieszyło procesy dojrzenia ideowo — politycznego młodzieży robotniczej. Wyrazem tego była czynna obecność młodych na zebraniach różnych organizacji, związków i stowarzyszeń, ich udział w licznych dyskusjach, żywe zainteresowanie sprawami światopoglądowymi, kulturalnymi, ekonomicznymi, socjalnymi. Pasjonowali się historią literatury, polską literaturą współczesną, historią ruchu robotniczego, teorią rozwoju społecznego.

W ślad za procesem umacniania się organizacyjnego i polityczno-moralnego ZMK w łódzkim środowisku rewolucyjnym szły represje i prześladowania. W nocy z 7 na 8 września 1922 roku policja aresztowała 16 osób. Wśród nich był m. in. Z. Kowalski, J. Gutner, Józef Fortuna, Teodor Klimka, Zygmunt Olejniczak, Emil Artur Nergier i jego brat Robert Aleksy. W maju i lipcu 1923 r. dokonała policja kolejnych aresztowań. W więzieniu znaleźli się Wacław Frankowski, Ryszard Holdrowicz, Stefan Przybylski, Henryk Zelcer, Estera Berlińska, Roman Raszkowski, Kazimierz Kalużyński, Stanisław Brzuch i wielu innych. I już tak pozostało do końca istnienia i działalności Związku. Ale po każdym takim ciosie ZMK ponownie zbierał siły i odradzał się nieustannie — represje bowiem wywoływały skutki od-

wrotne, niż te których się władze spodziewały. Na miejsce aresztowanych przystępował do pracy młodzi bracia i siostry, znajomi, koledzy, przyjaciele.

W 1924 r. utrzymywał się duży rozmach w pracy łódzkiej organizacji ZMK, okazało się to zbawienne dla organizacji partyjnej, na którą spadały niezwykle dotkliwe aresztowania. Młodzież wówczas wspierała KPP a od lata tego roku niemal całkowicie poprowadziła jej działalność. Policja nawet wyrażała wówczas przekonanie, iż „zapada decyzja połączenia KPRP i ZMK w Łodzi”. I tak zdarzało się jeszcze niejednokrotnie w dziejach komunistycznego ruchu w okręgu łódzkim. Były także sytuacje odwrotne, jak np. wiosną 1925 r. gdy ubytek ludzi w ZMK był tak niebezpieczny, iż groził na dłuższy czas przerwaniem pracy. Z pomocą spieszyli wówczas organizacja partyjna.

Stosunki między KPP i KZMP nie zawsze układały się harmonijnie, co dotyczyło również organizacji łódzkiej.

Gdy w 1925 r. łódzka organizacja ZMK określono mianem sekcjar-skiej, to główny argument na rzecz tej opinii dotyczył faktu przeciwności wienia się przez nią wysłania listu otwartego do TUR „Sily” i innych organizacji młodzieżowych, z propozycją jednolito — frontowego współdziałania. W tej właśnie dziedzi-

nie KPP-owcy i KZMP-owcy łódzcy dokonali ogromnego kroku naprzód i w połowie lat trzydziestych wysunęli się na czoło krajowych sił jednolito-frontowych. Wykazały to szczególnie dowodnie lata 1935 — 1936 — zapoczątkowane akcją protestacyjną przeciw konstytucji kwietniowej, a zakończone triumfalnym zwycięstwem w wyborach do łódzkiej Rady Miejskiej — 27 września 1936 r. Miłowymi krokami na tej drodze był jednolito-frontowo przygotowany i przeprowadzony strajk powszechny włókienników okręgu łódzkiego, stanowiący wówczas niezwykle ważne zjawisko w ruchu strajkowym Polski, oraz piękny i podniosły wspólny pochód na dzień 1 maja w Łodzi i niemal wszystkich większych miastach województwa — szczególnie zaś Piotrkowa, Tomaszowa i Zgierza.

KZMP wniosł i utrwalił w polskim ruchu młodzieżowym szereg pięknych tradycji. Jedną z nich była corocznie przeprowadzana w lipcu — sierpniu propaganda antywojenna. Organizował wówczas wiele zebrań młodzieży, uswiadamił podłoże groźby wojen w kapitalizmie i nieszczęścia jakie one powodują. Organizacja łódzka Związku na widoczną skalę rozpoczęła tę działalność od 1926 r. i prowadziła ją nieprzerwanie do końca. Wprowadzał też KZMP obyczaj obchodów Międzynarodowego Dnia Młodzieży,

jako wyraz klasowej i internacjonalistycznej solidarności postępowej młodzieży całego świata. Młodzi komuniści łódzcy pierwszy raz przeprowadzili tę akcję 5 września 1928 roku. Dzień ten poprzedziła szeroka działalność propagandowa. Zarzucali na drutach sztandary, na domach, piotach i słupach, malowali hasła. Władze policyjne określiły te wysiłki wówczas jako niezwykle intensywne. Tropiły też z całą bezwzględnością najdrobniejsze jej przejawy. I choć posypały się wieści o kolejnych aresztowaniach, ZMK nigdy z tych wysiłków nie zrezygnował, powtarzając je systematycznie, każdego roku.

KZMP corocznie też uczestniczył w uroczystościach organizowanych w Łodzi na Polesiu Konstantynowskim dla uczczenia pamięci bojowników rewolucji 1905 roku choć i za to spotykało wielu z nich wzięcie Organizacja się jednak odradzała i kontynuowała działalność. Stanowiło to o niezwykle żywotności i sile oddziaływania KZMP, która, choć okresami słaba, nigdy nie ustępowała. Pozwalało to partii rozszerzać własne wpływy na prężne i aktywne środowisko młodych robotników, którzy uczyli się w ten sposób przeżywać własne żądania uswiadamić specyfikę swych spraw i ich organiczną jedność z walką całego proletariatu i postępowych sił kraju.

## Ukochana niewdzięcznica

Zadna dyscyplina sportu nie cieszy się w Polsce taką popularnością, jak piłka nożna. Cieszymy się z każdego rozpoczęcia sezonu, a w miarę jego trwania nasz optymizm przeradza się w skrajny pesymizm. Potem, po sezonie, cała zabawa zaczyna się od nowa...

A problemów w bieżącym roku nie zabraknie. Reprezentacja Polski pragnie zakwalifikować się do finału turnieju olimpijskiego w Monachium. Zadanie to pierwszoplanowe i jemu podporządkowane są w tej chwili zarówno rozgrywki ligowe, jak i praca z kadrami. Czekają nas dwa trudne mecze eliminacyjne z Bułgarią (spotkania z Hiszpanią tu nie liczę, gdyż jest to zespół złożony z amatorów, a tam najlepsi grają w ligach zawodowych) i one znajdują się w tej chwili w centrum zainteresowania opinii publicznej.

„Uczynić wszystko, by zespół jak najlepiej przygotować, sam jednak jeden nie zrobię nic, jeżeli nie pomogą mi kluby” — powiedział mi w rozmowie trener kadry narodowej, Kazimierz Górski.

— Czy pomogą? — wyraziłem obawę. W odpowiedzi usłyszałem dłuższy wywód na temat doskonałej współpracy między PZPN i klubami, jak to w sposób niemal idealny trenerzy klubowi pracują z naszymi reprezentacyjnymi piłkarzami. Obraz wprost sielankowy...

Szybko jednak zostałem sprowadzony na ziemię. Jak wiadomo, ekstraklasa rozpoczyna spotkania mistrzowskie 26 marca, potem następuje ponad miesięczna przerwa w rozgrywkach w celu odpowiedniego przygotowania piłkarzy do meczów z Bułgarią. I co przeczytałem na ten temat w błyskawicznej ankiecie „Przeglądu Sportowego”, przeprowadzonej wśród trenerów naszej i ligi? Otóż wszyscy, w mniej lub bardziej dyplomatycznej formie... wyrażali żal z powodu tej przerwy. Spowoduje to przecież zakłócenia rytmiczności w grze zawodni-

ków drużyn klubowych, prawie miesięczna przerwa odbije się na ich formie. Czyli — z jednej strony hasło „wszystko dla reprezentacji”, z drugiej jednak żal w sercu, że drużyna klubowa itd... Ciekawe, czy ktoś zabronił drużynom I ligi organizować w okresie tej przerwy spotkania i turnieje. Nic o tym nie słyszałem.

Zasygnalizowałem tu jeden z najważniejszych konfliktów, istniejący w polskim piłkarstwie. Jest ich jeszcze wiele, jak chociażby rozbieżność między wymaganiami kibiców, a umiejętnościami piłkarzy. Dopóki jednak kluby nie przestaną prowadzić partykularnej polityki, dopóty będziemy się wstydzili za naszych piłkarzy na boiskach europejskich.

Niedawno brałem udział w konferencji prasowej, zorganizowanej przez sekcję piłkarską LKS. Wiemy dobrze, że sytuacja tego klubu w I lidze jest ciężka. W pierwszej rundzie, przy wyjątkowo sprzyjającym kalendarzyku spotkań, łodzianie stracili kilka punktów, których nie powinni byli stracić. Teraz z tym układem w kalendarzu jest znacznie gorzej — LKS ma silniejsze kluby u siebie, a słabsze na wyjeździe. W pierwszej rundzie, przy wyjątkowo sprzyjającym kalendarzyku spotkań, łodzianie stracili kilka punktów, których nie powinni byli stracić. Teraz z tym układem w kalendarzu jest znacznie gorzej — LKS ma silniejsze kluby u siebie, a słabsze na wyjeździe. W Łodzi gościć więc będziemy Legię, Górnika, Ruch, Zagłębie Sosnowiec, Gwardię i Pogoń, zaś na wyjeździe LKS grać będzie z Wisłą, Polonią, Stalą Rzeszów, Odrą, Zagłębiem Wałbrzych, Szombierkami i Stalą Mielec. Gorzej być nie może.

Poszedłem więc na tę konferencję w nadziei, że usłyszę coś, co natchnie mnie optymizmem na przyszłość. Gdzie tam. Dowiedziałem się tylko, że na trzytygodniowym obozie w Związku Radzieckim nie wypełniono wszystkich zadań treningowych. Spadł po prostu nie zaplanowany śnieg, co przeszkodziło w przeprowadzeniu ćwiczeń, zmierzających do poprawienia szybkości oraz wypróbowania nowych wariantów taktycznych. Tymczasem w Polsce panowała wtedy piękna, wiosenna pogoda, a

stan boisk sprzyjał przeprowadzaniu zajęć na wyrobienie szybkości i wypracowanie nowych wariantów taktycznych. Nie wiem, ile taki wyjazd kosztuje, znam tylko jego cel. Jeżeli celem było przygotowanie piłkarzy jak najlepiej do sezonu, to przecież można chyba było przerwać pobyt na gościnnej ziemi uzbeckiej i

kirgizkiej, powrócić do kraju, a wizytę w ZSRR dokonać w innym czasie. Oczywiście zgadzam się, że dużo by to kosztowało. LKS prowadzi jednak rozsądną politykę finansową, o czym ciągle mi działacze tego klubu przypominają, nie wątpię więc, że i w tym wypadku sprawę tę można byłoby jakoś załatwić.



## spektakle tygodnia

za okres od 20 do 26. III. 1972 r.

	Ilość spekt.	Iczba widzów	proc.
<b>WIELKI</b>			
„Aida”	1	1260	100
„Madama Butterfly”	1	1260	100
„Jeziro labędzie”	1	1260	100
„Henryk VI na łowach”	1	1256	100
<b>NOWY</b>			
„Zolnierz i bohater”	4	2800	100
„Opowiesć Lasku Wiedeńskiego”	3	1680	80
„Prometeusz”	1	700	100
„Idiota”	1	700	100
<b>NOWY MAŁA SALA</b>			
„Kosa”	2	600	100
„Kodeks”	2	400	100
„Ofiary obowiązku”	1	200	100
<b>POWSZECHNY</b>			
„Perla”	1	660	100
„Król Lir”	2	1980	100
<b>JARACZA</b>			
„Wilki”	2	956	93
„Szkłanka wody”	2	1102	100
„Kartofel”	2	772	75
<b>7.15</b>			
„Lectern”	2	842	100
„Trędowna”	2	842	100

## Czy za rok to samo?

(V Przegląd Filmów o Sztuce)

Tegoroczny Przegląd Filmów o Sztuce w Zakopanem to już impreza jubileuszowa. Po raz piątą, w ramach zakopiańskiego „Salonu Marcowego”, odbywał się, mający konkursowy charakter, przegląd dorobku wszystkich krajowych wytwórni filmowych, a także Telewizji Polskiej w zakresie filmów o sztuce, a ściślej mówiąc filmów o sztukach plastycznych. To zażalenie ma swoją określoną genezę — impreza powstała z inicjatywy Związku Polskich Artystów Plastyków — Okręg Zakopane i krakowskiego oddziału „Filmosy”, obecnie organizatorzy, których skład znacznie się poszerzył bronią do tymczasowego kierunku Przeglądu, obawiając się, że włączenie w ten skład sztuk innych zmieniłoby jej, w intencjach, seminarystyczny charakter. Argument ten trafiałby do przekonania, gdyby w istocie zakopiańskie konfrontacje filmów i poglądów miały charakter inspirowany czy ingeru-

jący w te rejony filmowej twórczości, w których film spotyka się ze sztukami innymi, w których film mówi o tych sztukach. Uczestnicząc w zakopiańskiej imprezie po raz pierwszy, tych wrażeń odnieść nie mogłam, obserwując zaś rozwój polskiego filmu o sztuce nie dostrzegłam też zmian, które mogłyby zająć pod wpływem tego przeglądu — film „Bykowi chwala” wyrósł zupełnie z innych inspiracji, inwazyjnie się poszerzył bronią do tymczasowego kierunku Przeglądu, obawiając się, że włączenie w ten skład sztuk innych zmieniłoby jej, w intencjach, seminarystyczny charakter. Argument ten trafiałby do przekonania, gdyby w istocie zakopiańskie konfrontacje filmów i poglądów miały charakter inspirowany czy ingeru-

jący w te rejony filmowej twórczości, w których film spotyka się ze sztukami innymi, w których film mówi o tych sztukach. Uczestnicząc w zakopiańskiej imprezie po raz pierwszy, tych wrażeń odnieść nie mogłam, obserwując zaś rozwój polskiego filmu o sztuce nie dostrzegłam też zmian, które mogłyby zająć pod wpływem tego przeglądu — film „Bykowi chwala” wyrósł zupełnie z innych inspiracji, inwazyjnie się poszerzył bronią do tymczasowego kierunku Przeglądu, obawiając się, że włączenie w ten skład sztuk innych zmieniłoby jej, w intencjach, seminarystyczny charakter. Argument ten trafiałby do przekonania, gdyby w istocie zakopiańskie konfrontacje filmów i poglądów miały charakter inspirowany czy ingeru-

wiarza (Zakopane — filmy o sztuce, Kielce — filmy z zakresu muzealnictwa, Katowice — przegląd filmów technicznych, Łódź — przegląd filmów naukowych i dydaktycznych, w tym wiele technicznych) bądź niezwykle zawęża (Szczecin — filmy morskie, ileż tych filmów w roku się robi! jaka konkurencja? Powtarzając pytanie o sens i użyteczność tych imprez, nikt nie sugeruje pełnej z nich rezygnacji, należy jednak poddać je weryfikacji, choćby tylko dlatego, by nie zanikał ich poziom, a w głównej mierze po to, by dokonać pewnych połączeń i uktynkowań na odbiorcę, by określić ich społeczny sens. I tak na przykład Przegląd zakopiański uczynić można bądź imprezą otwartą, (wykorzystując wszystkie turystyczne walory tej miejscowości) niech będzie pokazem czy nawet reklamą nie tylko filmów o sztuce, ale sztuki polskiej w ogóle, bądź uczynić ten przegląd imprezą profesjonalną, dającą szansę spotkań artystom, realizatorom filmowym i przedmiotom określonych kręgów odbiorców. Wtedy jednakże seminarystyczny, dobrze przemysłowy charakter tej imprezy winien ją zdominować. Nie znaczy to, iż konkurs miałby przestać być konkursem, zawsze bowiem będą praw tych twórców filmowych, których trudna, a często niewdzięczna, zważywszy na towarzyszący jej brak publiczności, winna mieć swe miejsce. Najwyższą jednak porą uświadomić sobie funkcje społeczne, dydaktyczne, wychowawcze i estetyczne pewnych rodzajów filmowych, w tym również filmu o sztuce. Nikt z seminarystów te-

go typu nie wywiezie recepty na dobry film, to oczywiście, ale znajomość rzeczowych opinii i zapotrzebowania tak na tematy jak i gatunki może określić kierunki rozwoju i poszukiwań filmu o sztuce. Stan badań nad odbiorem i wykorzystaniem filmów popularno-naukowych czy dydaktycznych, a w tych kategoriach miesiąc się też film o sztuce, jest w Polsce żaden. Programowanie tematów to w większości przypadków własne inicjatywy realizatorów, zamówienia Ministerstwa Oświaty to też sprawa bardzo dyskusyjna. A przecież żyjemy w czasach, które ponoć są świadkiem rewolucji w metodach dydaktyki szkolnej i ogólnospołecznej, rewolucji, której przydałoby się miało audiolowizjalne. Zakopane przekonało mnie jeszcze raz, że deklaracje te mają futurologiczny sens. W Zakopanem realizacja do główne kryterium filmu lekcyjnego podawał jego krótkość. Dlatego powtarzam: pora chyba najwyższą skończyć ze starym modelem pewnych filmowych przeglądów, pora sprzecywnać ściśle ich funkcję w określonej społecznej działalności. Nie stać nas, i to nie w sensie materialnym, na dreptanie w miejscu, wzajemne uśmiechy i grzesności, jałowe dyskusje i nagradzanie filmów tylko dlatego, że nagrody te zostały ufundowane. A było na to zbyt wiele przykładów. Wspomnijmy tylko o jednym z nich: na 24 pokazowane w Przeglądzie filmy czekało 7 nagród i 5 wyróżnień, a także 12 nagród publiczności, oczywiście przydzielono je, choć tak naprawdę 3 może 4 nagro-

dy winny być miarą poziomu tych filmów. Dwie pierwsze nagrody uzyskały bezapelacyjnie najlepsze filmy Przeglądu: „Bykowi chwala” Andrzeja Papużńskiego (WFO) i „Z tekł Leona Wyczółkowskiego” Bogdana Mościckiego (WFO), filmy znamienne zresztą dla różnych dróg filmu o sztuce, wskazujące możliwości twórczych, filmowych poszukiwań, w różny sposób uczące wrażliwości na sztukę, przykładowe dla podstawowego w filmach o sztuce pytania — jak dalece film może być osobistą interpretacją dzieła sztuki. Film A. Papużńskiego był przykładem niewątpliwie autonomii dzieła filmowego, powstałego w wyniku inspiracji dziełem plastycznym — takie też było uzasadnienie werdyktu jury. Tym bardziej dziwić tu może brak, przynajmniej podkreślenia, udziału w sukcesie tego filmu operatora Stanisława Sławkowskiego. Film B. Mościckiego w doskonały sposób reprezentował ten nurt filmów o sztuce, których celem jest przede wszystkim obrazowanie dzieła artysty, w tym wypadku sztuka malarstwa Wyczółkowskiego znalazła swój precyzyjny i pogłębiony sposób prezentacji. Film będący sam sztuką i film niejako służebny, w najlepszym tego słowa znaczeniu, wobec sztuki innej — inny cel i różne środki, miejsce dla jednego i miejsce dla drugiego, niepodważalne wartości obu. Nagrody jury uśankcjonowały niejako oba te kierunki, określiły sposób ich traktowania i myślenia przyszłościowego. Liberalność tegoż samego jury wobec innych filmów można zapewne tłumaczyć determinacją nagród, które trze-

ba było przyznać. Zupelnym zaś nieporozumieniem było traktowanie filmów bez względu na ich rodzaj i gatunek. Też filmy telewizyjne dają się tu na tym przeglądzie poznać oczywiście jako „gatunek” odrębny. Cokolwiek byśmy nie powiedzieli o pewnych schematach, w jakie popadły „filmy kinowe”, rzetelność ich wariacji filmowej każe w tym specyficznym rodzaju filmów, jakim jest film o sztuce, przyznać im prymat. Felietonowy ton propozycji telewizyjnych, ich warsztatowa zwykła niechęć, niezrezygnany, pretensjonalny komentarz, tekst, na którym buduje się film to główne grzeszy filmów TVP. Nie mogła tu rzadkość telewizyjnych dniennikarzy-filmowców, ten rodzaj filmu wymaga po prostu fachowości. A jeśli już przyjmujemy się formę felietonu, czy reportażu, nie można zapomnieć, iż żadnemu felietoniście czy reporterowi nie przystoi ton bezosobowy, letniej relacji. Pozostaje to w sprzeczności z uprawianym gatunkiem i wprowadza zakłócenia w proces powszechnego edukacji, w który to Telewizja przedzieliła i tymi filmami się wiąże. Proszę wybaczyć, że relacja moja nie obejmuje szczegółowych omówień pokazywanych na teoretycznym Przeglądzie. Do starczył on jednakże nie tyle wielu wrażeń artystycznych, czy intelektualnych, co spowodował do uwag o charakterze i celach tej imprezy, każe mi myśleć nie tylko o poziomie prezentowanych filmów i kierunkach ich poszukiwań, ale przede wszystkim o ich adresatach i o filmach tych użyteczności.

## OBIEKTYW

CZY „ZWARIOWANA”?

W programie telewizyjnym pewien pozytywny ferment. Za początkował go może Janusz Cegiella, który z kawalerskim impetem zaatakował na odcinku bodaj najtrudniejszym: muzyki poważnej. Z nową inicjatywą wystąpiła ostatnio redakcja Teatru Młodego Widza, uruchamiając Scenę Faktu.

Na pierwszy ogień poszła dramatyzacja pamiętnika nauczycielki wiejskiej (Teatr Młodego Widza, Scena Faktu: „Zwariowana nauczycielka — Pamiętniki młodzieży”; scenariusz — Andrzej Marczewski i Jan Bijak, reżyseria — Andrzej Marczewski, realizacja TV — Ewa Vogtman-Budny, scenografia — Jerzy Napiórkowski, muzyka — Jan Zawierski, Telewizja Warszawa — 25. III. 1972 r.). Widowisko oparte zostało na autentycznym pamiętniku młodej nauczycielki, opublikowanym w tomie „W myśl, w mowie, w sercu...”, pod redakcją J. Bijaka („Polityka”).

Pierwszą premierę Sceny Faktu witamy z nieklamną życzliwością. Teatr Młodego Widza — przynajmniej to bez owiania w bawelnę! — nie zawsze dobrze startował na antenie. Wiele widowisk dał mdłych, nijakich, o skromnym ładunku wychowawczym. Włączenie w jego nurt pulsującego życiem strumienia autentycznych przeżyć i uczuć młodego pokolenia jest zabiegiem słusznym już w samym zamierzeniu.

Kiedy pod napisy czołowe „Zwariowanej nauczycielki” oglądaliśmy proces wywoływania i utrwalania dużej fotografii bohaterki tego widowiska (oczywiście, aktorki tę bohaterkę reprezentującej), zamiar autorów ukazał nam się ewidentnie. Chodzi o sportretowanie żywego i żyjącego człowieka w jego nie wymyślonych, lecz rzeczywistych zmaganiach z losem.

Tak też i było. W historii kilku lat życia młodej dziewczyny — od przygotowań przedmaturalnych do samodzielnej pracy w zawodzie nauczycielskim — nie było wydarzeń na miarę tragedii greckiej. Małe sukcesy i radości, małe klęski i smutki — oto co składa się na obraz jej życia. Pamiętnik jej jest intymny. Zwiera się w nim z wszystkich pragnień i niezrealizowanych nadziei. W swoich stałościach jest jednak niezwykle konsekwentna. Dąży do wytyczonego sobie celu z uporem i przekonaniem, że wyboru dokonała na całe życie, bez względu na konsekwencje. Czy „zwariowana”, to właściwe słowo?

Cloniem, trochę smętnym, pada na monolog nauczycielki jeden czynnik: samotność. Jest sama. W momentach trudnych decyzji nie ma, jak się zdaje, kogo się poradzić. Trochę dopomagają jej w tej samotnej walce postaci z utraconych lektur. Pojawiają się w widowisku, jako żywi partnerzy, prowadzący rozmowę z nauczycielką, choć skrepowani swolm oryginalnym tekstem literackim. Tatjana z „Eugeniusza Oniegina”, Hrabia Monte Christo, Stary Człowiek z opowiadania Hemingwaya...

Obok tych krótkich „wizyt” postaci literackich nie ma innych przerywników monologu. Stanisława Celińska, grająca rolę nauczycielki, ma więc za zadanie udźwignąć cały ciężar przedstawienia. Zabiera się do tego z dużym impetem. W partiach początkowych widowiska nadmiernie może nawet szafować środkami aktorskimi. Chce nimi zastąpić dynamikę tekstu, może w nią nie do końca wierzy.

W miarę rozwoju widowiska aktorka uspokaja się wewnętrznie, nabiera przekonania do słowa, które ma do przekazania widzowi. Uwierzyła w autentyczność myśli i wrzesień bohaterki. Razem z nią osiąga sukces. Taki sukces aktorki spaja się z sukcesem bohaterki, która w tak szczerzy sposób potrafi mówić o swym życiu.

Chyba i reżyser widowiska nie do końca uwierzył w nośność tekstu, który miał udrumantyzować. Siad nadużywając różnych czynności życiowych, które każe wykonywać aktorce (mycie się nad miską, krajanie chleba itp.). Niezbyt tłumaczyły się również przejścia od scen mówionych przez bohaterkę synchronicznie, do partii wypowiedzianych spoza kadru. Przeciwnie, całość tekstu była wewnętrzny monologiem.

To drobne mankamenty. Czekamy na dalsze pozycje cyklu!

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## NAJBARDZIEJ TAJEMNICZY KOLEKTYW PISARSKI?

W roku 1846 ukazał się w Anglii zbiór poetycki pt. „Poems by Currer, Ellis and Acton Bell” (Wiersze pióra Currer, Ellis i Acton Bell). Tomik nie spotkał się ze szczególnym zainteresowaniem i nikt nie wiedział, że pod pseudonimami kryją się nazwiska trzech pięknych i młodych córek irlandzkiego pastora w Haworth (Yorkshire). Ale już w roku następnym ukazują się równocześnie trzy powieści: „Jane Eyre” napisana przez Currer Bell, „Jane Grey” pióra Acton Bell i „Wuthering Heights” (Wichrowe wzgórza) Ellis Bell.

Dwie pierwsze książki krytyka przyjęła żywo, ale „Wuthering Heights” wywołała literacki skandal. Z furją zaatakowano „Wichrowe wzgórza” jako powieść ponurą, pełną gwałtu i nieludzkiej namiętności. Bohaterowi powieści zarzucano diabelską mściwość, nienawiść przerażającą normalne ludzkie uczucia. Któregoś z krytyków wyraził się m. in., że postać bohatera powieści, Heathcliffe’a jest tak diabelska, tak amoralna, że nawet Dante nie potrafiłby znaleźć dla tego potwora odpowiedniego miejsca

w kręgach swego „Piekła”.

A dziś „Wichrowe wzgórza” uchodzą za dzieło wybitne, które na trwałe weszło do klasyki literackiej.

Historycy literatury już dawno, jak się zdawało, rozszyfrowali pseudonimy trzech córek pastora. Ustalono z całą dokładnością, która i jakie książki wydała i uważano, że autorką „Wichrowych wzgórz” była Emily Jane Brontë, choć już w roku 1847 jeden z angielskich krytyków dopatrywał się w owych trzech powieściach właściwie jednego tekstu, tylko ukazanego w trzech różnych fazach ewolucji powieściowej.

Obecnie sprawa autorstwa genialnych córek pastora z probostwa w Haworth znów znajduje całkiem nowe oświetlenie, a to dzięki wnikliwym badaniom Francuza, Raymonda Belloura.

Ojciec dziewcząt, pastor Prunty czy Brunty lub Brontë pisywał kiepskie dydaktyczne wiersze i opowiadania. W rok po osiedleniu się z rodziną w Haworth, pastor traci żonę (panieńskie nazwisko Branwell), która umiera na gruźlicę. Ta sama choroba zabiera krótko dwie córki. Przy życiu zostają Charlotte, która w chwili śmierci matki ma 5 lat, czterolet-

ni Patrick, trzyletnia Emily Jane i jednoroczna Anne.

Siostry kształcą się początkowo w szkole dla córek duchownych w Westmoreland. Emily Jane przebywa ponadto przez rok w szkole w Cowan Bridge, kilka miesięcy spędza w Brukseli ucząc się języków obcych. Charlotte przez dwa lata pracuje jako guwernantka, także jakiś niedługi czas przebywa w Brukseli, Anne jest krótko również guwernantką. Ale wszystkie trzy siostry i brat Patrick znajdują się po niedługiej rozłące na probostwie w Haworth. I wszyscy chorują na gruźlicę. I oto w małym domku, gdzie przebywają z niewpół zdziwczalym ojcem, zawiązuje się najdziwniejszy kolektyw pisarski.

Francuz Raymond Bellour podjął się ogromnej, mroźczej pracy, zbadał całościowe literackiego dorobku rodzeństwa Brontë. Twierdzi on, nie zaprzeczając indywiduizmu pisarskiego żadnemu z nich, że książki powstawały kolektywnie i przypadek sprawił iż „Wichrowe wzgórza” podpisała Emily Jane swym pseudonimem. Co ważniejsze, Bellour odnalazł całą masę zeszytów, zapisanych drobny, jakby przez oszczędność papieru, ściśniętym piśmem. Dotąd badacze literatury traktowali je jako dziełce czy szkolne wypracowania rodzeństwa. Okazało się jednak, że są to ciekawe, niewydane dotąd prace literackie. I tak np. ostatnio tygodnik „Les Lettres françaises” drukuje tłumaczenie niepublikowanego jeszcze opowiadania, które podpisała czternastoletnia wówczas Charlotte.

Rodzeństwo Brontë zmarło na gruźlicę. Emily Jane w wieku lat 30, Anne w wieku lat 29, Charlotte wychodzi w 38 roku życia za mąż za wikarego Nicholasa i umiera w niecały rok po ślubie. Patrick zmarł mając lat 31.

Ostatnio ukazało się we Francji wznowienie tłumaczenia „Wichrowych wzgórz” oraz w języku francuskim „Patrick Branwell, Emily Brontë i Char-

lotte Brontë: Pisma młodzieńcze wybrane i skomentowane przez Raymonda Belloura”.

Autor komentarza nadal bada nieznaną rękopisową spuściznę Brontë. Wydana książka jest pierwszym tomem całości dzieł.

Dziś w Haworth jest Muzeum Brontë, w tym samym domu, gdzie pisała się śmierć, gdzie czworo rodzeństwa pisywało książki, powieści w których bohaterami miały być silne namiętności, w których tłem była przyroda Yorkshire, książki w których rozbijała imaginacja sąsiaduje z realizmem i niestychnym i niestycznym opisem stosunków dziewiętnastowiecznej Wielkiej Brytanii.

## SZTUKA STARZYCH MISTRZÓW DAGESTANSKICH

Marcowy numer rzadkiego magazynu „Sputnik” przynosi m. in. interesujący artykuł o sztuce starzych mistrzów z dagestańskiego aulu Kubaczi i o-



Słynny mistrz z Kubaczi — Rasul Aliehanow z synem

obecnie produkowanej tam biżuterii.

O Kubaczi i pracy ich mieszkańców znajdujemy pierwsze wzmianki u arabskiego uczonego i podróżnika o nazwisku Al Masudi. Uczony ów miał być ponad tysiąc lat temu na Kaukazie. Ku swemu wielkiemu zdumieniu natrafił na skryte wśród gór malarstwa i sztuki. Zającem mieszkańców był wyrób najprzeróżniejszych przedmiotów z żelaza, a przede wszystkim kołczug, mleczy, szermion i uzd. Dziś, dawne to państwo jest aulem Kubaczi, gdzie kwitnie rzemiosło artystyczne.

W XVI i XVII wiekach pracowali tu kowale, snycerze, glaserzy, mistrzowie

wyrabiający ozdoby ze złota i srebra. Przedmioty produkowane w Kubaczi znajdowały odbiorców nawet w Damaszku czy Bagdadzie. Mistrzowie z Kubaczi zdobyli produkowane przez siebie przedmioty ornamentami. Początkowo były to elementy roślinne. Z czasem ornamentyka stawała się coraz bogatsza i pojawiały się w niej ptaki, zwierzęta, często zwierzęta fantastyczne. W zbiorach Ermitażu w Leningradzie znajdują się m. in. pochodzące z Kubaczi, dzban i taca, obydwa przedmioty wykonane z brązu. Na dzbanie wśród płotów roślinnej ornamentyki wyobrażone są ptaki siedzące na gałęziach drzewa. Podobne ptaki, wyciosowane w kamieniu zdobity i zdobity domy mistrzów z Kubaczi. Mieszkańca, w tych domach od wieków są jak muzea artystycznego rzemiosła miejscowego. Na półkach znajdują się najprzeróżniejsze, przepięknie zdobione naczynia: dzbanki, tace, miedziane, misy, talerze. Na podłogach stoją kotły, które wyszły niedługo spód rąk mistrzów kubacznińskich.

Wszystkie te naczynia są zawsze starannie czyszczone. Nie dopuszcza się by pokryła ich śmieć. Ta wywołana wielkie zainteresowanie i cieszyła się ostatecznie blaskiem metalu pozostała jeszcze z dawnych czasów kiedy to w Kubaczi wierzono, że zasiedziały naczynia przyciągają złe duchy, oczyszczane zaś i błyszczące, duchy takie odganają.

Poprzez wieki tradycyjne rzemiosło mistrzów z Kubaczi dochodziło do coraz większej perfekcji. Ich wyroby zdobywały sobie coraz większe uznanie i pojawiały się w niej ptaki, zwierzęta, często zwierzęta fantastyczne. W zbiorach Ermitażu w Leningradzie znajdują się m. in. pochodzące z Kubaczi, dzban i taca, obydwa przedmioty wykonane z brązu. Na dzbanie wśród płotów roślinnej ornamentyki wyobrażone są ptaki siedzące na gałęziach drzewa. Podobne ptaki, wyciosowane w kamieniu zdobity i zdobity domy mistrzów z Kubaczi. Mieszkańca, w tych domach od wieków są jak muzea artystycznego rzemiosła miejscowego. Na półkach znajdują się najprzeróżniejsze, przepięknie zdobione naczynia: dzbanki, tace, miedziane, misy, talerze. Na podłogach stoją kotły, które wyszły niedługo spód rąk mistrzów kubacznińskich.

Wszystkie te naczynia są zawsze starannie czyszczone. Nie dopuszcza się by pokryła ich śmieć. Ta wywołana wielkie zainteresowanie i cieszyła się ostatecznie blaskiem metalu pozostała jeszcze z

# Bez strachu

## NIEZNAJOMOŚĆ LUDZI

Żyje w ciągłym strachu, ponieważ zupełnie nie znam się na ludziach. Nieznajomość ludzi w stopniu wybitnym, skrajnym. Nie wiem, czy Jan i Piotr są mi życzliwi, czy wrodoży, czy Jadwiga i Helena mi tują mnie, czy też dyszą do mnie nienawistną. A może Jan i Piotr są mi życzliwi w nieparzyste dni każdego tygodnia, a w parzyste wrodoży? Jadwiga i Helena dyszą przez cały miesiąc, ale może w pierwszej połowie miesiąca dyszą nienawistną, a w drugiej miłością? Kto to wie? W każdym razie nie ja, wyrazi zewnętrzne miłości i nienawiści są bardzo podobne, a krańcowa obojętność jest najczęściej maską silnego zainteresowania. Nie wiem, nie wiem. Wpada do mojego mieszkania znany zawodnik Leon, wpada jak bomba — sądzę, że to napać — tymczasem jest to przyjacielska wizyta. Nie pokazywałem się na mieście od kilku tygodni, Leon sądził, że jestem chory i przyszedł zapytać, czy czego mi trzeba. Ja tymczasem sposobem się do rozpaczliwej obrony... Kiedy była wojna, Powstanie Warszawskie, wtedy wszyscy wszystkich znali, wiadomo było, że kolega kolegę podnieście, kiedy jest ranny, nawet z narazieniem życia. Wrogami byli Niemcy, wydawało się, że kiedy narecznie Niemcy przegrają, uciekną — my wszyscy będziemy sobie przyjaźni, a w każdym razie będziemy się znali. Gdzie tam! Każdy z nas jest wulkaniczna przepaścią dla innego. Oto uparczywie podgrzebam stołek Jana, a na jego biurku Jana staje w płomieniach, wtedy przemocą rzucam się w płomienie, sprzedając straż ognia, wynosząc płonącego Jana, gaszę go, robię opatrunki, przywracam do kręgu żywych. Oto biuro Jana odbudowano. Jan znów siedzi na stołku, a ja przychodzę, by ostabionymi zębami stołek ten podgrzać. Tak się dzieje, aż do momentu, gdy biuro Jana zalewa woda z pękniętych rur. Rzucam się, uprzedzając pletwonurków. Wyciągam Jana z odmeń, kładę go w suchym miejscu, uprzedzając lekarzy robię mu sztuczne oddychanie. Przywracam Jana z grona zatopionych do grona żywych. Oto wodę wypompowano z biura Jana, a ja staję w progach i resztką zębów zaczynam podgrzać stołek Jana. Wśród licznych nieznanymi mi ludzi sam sobie jestem nieznanym najbardziej. Zupełnie nie wiem, kiedy reaguję literalnie, a kiedy gram jak w teatrze. A chciałbym, bardzo bym chciał to wiedzieć. Wiem bowiem, że dopiero po poznanu samego siebie możliwe jest poznanie innych. To drugie jest rezultatem tego pierwszego.

BERNARD SZTAJNERT



Anne, Emily i Charlotte Brontë. Malował ich brat Patrick.



## SZTUKA I SPORT

### RYDWANY I POEZJA — NIEZNANI MEDALIŚCI — O SZTUCE ZAPOMNIANO — IDEA ODRODZONA — PLENER W SPALE — NAPIĘCIE KRÓTKODYSTANSOWCA — GRECJA W SPALSKICH LASACH.

Kiedyś w zamierzonych czasach sztuka i sport związane były niezwykle ściśle. Olimpiady starożytności były przecież zarówno zawodami sportowymi, jak i literackimi i muzycznymi. Greckie olimpiady mieściły zarówno walkę na pięści, jak i zawody trębaczy, wysięgi rydwanów i turnieje poetyckie.

W końcu XIX wieku, kiedy odżyły olimpijskie idee starano się utrzymać ową równowagę między sztuką piękną, a sztuką fizycznego trudu. Coraz bardziej jednak Sztuka stawiała się mało znaczącym fragmentem igrzysk, zawody artystów nie miały owego widowiskowego magnesu, sztuka bowiem powstaje w ciszy, a nie przy

akompaniamencie owacji trybun. Wielu z nas pamięta brązowy medal pięściarza Antkiewicza na pierwszej powojennej Olimpiadzie w Londynie w 1948 roku. Ale ktoś pamięta, że na tej Olimpiadzie złoty medal w konkursie sztuki zdobył polski kompozytor Zbigniew Turski?

Któż nie pamięta Walsiewiczówny i Wajsołówny, które przywoziły srebrne medale z Olimpiady berlińskiej w 1936 roku? Ale ktoś wie, że medalistami tej Olimpiady byli także Jan Parandowski i grafik Stanisław Ostoja-Chrostowski? Polscy medalisci z nowożytnych igrzysk olimpijskich to przecież poeta Kazimierz Wierzyński (zło-

ty medal z Amsterdamu — 1928), grafik Władysław Skoczylas (brązowy medal z Amsterdamu — 1928), rzeźbiarz J. Klukowski (srebrny medal z Berlina — 1936), plastyczka J. Kornańska srebrny medal z Los Angeles — 1932).

A potem — wstyd powiedzieć — o sztuce na Olimpiadach zapomniano. Przestała być potrzebna, gdy widownię zafascynował jedynie wyczyn, jeszcze jeden centymetr dalej, jeszcze jeden centymetr wyżej, jeszcze jedna dziesiąta sekundy szybciej... Wyczyn stał się treścią współczesnych Olimpiad — Sztuka przestała być nawet nieistotnym fragmentem.

I oto w Łodzi podjęto próbę odrodzenia tamtych zapomnianych wartości olimpijskich. Z inicjatywą Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Związku Polskich Artystów Plastyków zorganizowano latem w Spale wspólny plener artystów i sportowców. W efekcie powstało kilkadziesiąt prac zadziwiających świeżością tematu. Nie dziwnego — sport i sztuka od lat stanowią dwa odległe od siebie bieguny ludzkiego działania. A przecież ile można do-

strzec piękna w płynnym, wystudiowanym ruchu miotacza kule, jeśli spojrzeć nań wrażliwym i analitycznym wzrokiem artysty. Taką właśnie piękną, op-artowską litografię stworzył Lucjan Mianowski, tworząc postać miotacza z niemal ruchomych kręgów, wyrażających sugestywnie napięcie i ruch. Frapujący jest fotograficzny niemal portret lekkoatletki Chewińskiej, namalowany przez Benona Liberskiego. Jak na zwolnionym obrazie filmu, na tle kilku faz skoku trzy twarze zawodniczek. W głębi — oczywiście, jak na wszystkich prawie obrazach Liberskiego — autoportret malarza. Albo ten zwalający miotacz kulą Jana Łukasika, czy w trzech zbliżeniach namalowane napięcie przed startem — „Krótki dystans” B. Łukaszewskiego...

Tam w Spale spotkali się sportowcy i artyści — i oto w galerii wystawowej spotkał się sport ze sztuką, złączony w jedność na płaszczyznach obrazów i grafik. Nie jest moim zadaniem ocena artystyczna prezentowanych prac. Patrzę na nie raczej jak na zjawisko kulturalne, bo o to wreszcie przypomniano

sobie starogreckie idee olimpiad, aby wprężnięto sport, aby służył sztuce inspiracji, oto zrealizowano myśl, aby sztuka służyła sportowi artystyczną wizją. Starogrecka idea zrealizowana w Łodzi lat siedemdziesiątych. Piękna idea, kulturowo-wzrusza inicjatywa. Myślę, że inicjatywa Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Łódzkiej Artystów Plastyków dobrze się przysłuży zarówno propagandzie sportu, jak i propagandzie sztuki. Powie ktoś, że sport propagandy nie potrzebuje. Nieprawda — potrzebuje właśnie owego pokwitowania w wizjach artysty, bo telewizja i pisma sportowe notują do siebie, a przecież wyczyn sportowy stał się jakże istotną częścią współczesnego życia — trudno sobie wyobrazić, aby ów istotny element współczesności mógłby być pominięty w artystycznych dokumentach epoki.

Dzięki plenerowi w Spale, dzięki pracom, które tam powstały, temat „sport” we współczesnej plastyce polskiej zaczyna się zapędniać galerią obrazów i grafik. Starogrecka idea odżyła w spalskich lasach.

JERZY WILMANSKI

# Nienawiść

Mężczyzna drżał z oburzenia i wściekłości. Wszedł do willi drzwiemi służbowymi i skierował się do syplalni.

Yvonne Mutier obudziła się. Usłyszała jakiś hałas. A może się pomyliła? Hałas już się nie powtórzył. Spojrzała z czułością na mężczyznę, który spał przy jej boku.

Zapaliła lampę i wyciągnęła rękę po papierosa. Nagle jakiś cien pokazał się za szybą drzwi prowadzących na korytarz. Zadrżała.

— François... François... czy to ty?

Jej mąż, François, był w Nicei, miał wrócić jutro. Nagle drzwi się otworzyły szeroko i jedyną rzeczą, którą Yvonne zobaczyła, był pistolet wymierzony w jej kierunku. Za chwilę posypała się seria strzałów. Kobieta leżała martwa, a obok niej mężczyzna z roztrzaskaną głową.

\* \* \*

Komisarz Dillon przybył do willi Mautiera o godzinie 10. Przed kwadransem telefonował do Centrali François Mautier: — Proszę przyjść jak najprędzej, moja żona została zamordowana przez swego kochanka!

Po zbadaniu sprawy policja doszła do wniosku, że kochanek nie zabił Yvonne, i nie popełnił samobójstwa. Oboje zostali zamordowani przez osobę trzecią.

— Naturalnie pan będzie musiał udowodnić, że znajdował się pan poza domem między 2 a 3 w nocy, kiedy dokonano morderstwa — rzekł komisarz.

— Byłem w Nicei. Proszę mi powiedzieć, jak się nazywał mężczyzna zamordowany wraz z moją żoną?

— Maurice Vallant.

— Słyszałem o nim, żona straciła dla niego głowę, prosiła mnie o rozwód.

— Czy Vallant był żonaty?

— Chyba tak...

Dwie godziny później Dillon dzwonił do drzwi domu Diany Vallant. Kobieta była zrozpaczona. Wiadomość o śmierci męża przyniósł jej rano inspektor, a potem zawieziono ją do prosektorium, gdzie zidentyfikowała zwłoki.

— Czy pani ma alibi na ubiegłą noc? Gdzie pani przeby-

wała między godziną 2 a 3? — W domu, jak zwykle.

— Mówią, że pani była wściekle zazdrosna.

— To prawda, kochałam Maurice'a, nie chciałam go stracić, lecz w końcu zrezygnowałam z walki. A teraz przychodzicie tu, aby mi wmawiać, że to ja ich zastrzeliłam. Absurd! Raczej jej mąż, który nie chciał się pogodzić ze stratą żony...

Komisarz nie dał się jednak zasugerować oskarżeniami i gdy inspektorzy przynieśli mu wiadomość, że pistolet znaleziony na miejscu zbrodni należał do Maurice'a Vallant, podpisał nakaz aresztowania Diany...

François Mautier odwiedził Dianę w więzieniu. — Chciałbym pani pomóc — rzekł. — Rozumiem, co to znaczy cierpieć poniżej poziomu niewiernej małżonki, którą się jeszcze kochało. Ja bym też tak postąpił, jak pani.

— Pani Mautier, nie zabiłam ani mego męża, ani pańskiej żony. Przecież to byłaby głupota strzelać z własnego pistoletu i zostawić go potem na miejscu zbrodni. Komisarz, nie mogąc znaleźć zbrodniarza, zrobił ze mnie kozła ofiarnego...

Maurice myślał o tym długo i doszedł do wniosku, że pani Vallant ma rację i na pewno adwokat ją wybronił. Tak, lecz później Dillon skieruje na niego swe podejrzenia, chociaż ma żelazne alibi: Hotel Nizza, personel samolotu.

— Ale mógł także użyć Killera, najemnego zabójcę. Paryż ról się od podejrzanych typów, którzy za pieniądze byli gotowi załatwić człowieka.

Widząc grożące mu niebezpieczeństwo, zaczął badać sprawę na własną rękę. Szukał wiadomości na temat życia i zwyczajów Diany. Starał się przeniknąć do środowisk, gdzie pieniądze otwierały wszystko.

Dwa tygodnie po uwięzieniu pani Vallant udało mu się uzyskać pierwszą pozytywną wiadomość. Ktoś podał mu adres pewnego indywidualum, François zaczął go śledzić.

Niedługo otrzymał inny adres. I oto pewnej nocy Mautier przekroczył próg zamaskowanego laboratorium fotograficznego, które specjalizowało się w produkowaniu fałszywych dowodów.

— Nie znam pana — oświadczył człowiek, który wprowadził Mautiera do pomieszczenia pełnego zdjęć przygotowanych do naklejenia na paszporty. — I nie interesuje mnie to, co pan zobaczy.

Mautier przystanął zdumiony przed jedną z fotografii i zapytał: — A ten mężczyzna, czy to nie jest...?

— Nie chcę wiedzieć, kogo przedstawia to zdjęcie. Teraz gdy pan już zobaczył, proszę sobie iść i zapomnieć o moim adresie.

\* \* \*

Miasteczko na wybrzeżu atlantyckim było prawie nieznanne. Mautier zatrzymał auto w ulicy pełnej małych willi. Wysiadł z samochodu i skierował się do domu z czerwonych cegieł. Zadzwoił do drzwi, lecz nikt mu nie odpowiedział.

— On nie otwiera drzwi nawet, gdy jest w domu. Ale może wyszedł na spacer — rzekł sąsiad.

Mautier czekał w pobliżu ogródka. Po kilkunastu minutach na ścieżce pokazał się mężczyzna z gęstą brodą i w ciemnych okularach. Otworzył drzwi i chciał je zamknąć, gdy Mautier mu przeszkodził i nim mężczyzna się zorientował, wszedł do wnętrza domu, zamykając za sobą drzwi.

— Dzień dobry, panie Maurice Vallant.

— Co pan wyprawia, do diabła?

— Niech się pan uspokoi, nie przyszedłem, żeby pana zadenuncjować. Jestem pełen podziwu dla pana. Policja francuska nie może w tej sprawie sobie poradzić. Dowiedziałem się, że pan ma zamiar wyjechać potajemnie z paszportem wystawionym na nazwisko George De Ville. Następnie uda się za panem żona, kiedy tylko będzie to możliwe.

Maurice Vallant nie wiedział, co czynić. Wierzyć, czy nie wierzyć? Ach, gdyby miał przy sobie ten pistolet!

— Pan mi nie ufa? — dodał François. — Był pan kochankiem mojej żony, powinienem pana nienawidzieć. Lecz to mi już przeszło. Yvonne obchodziła się ze mną podłe, pan mnie od niej uwolnił, mogę być tylko wdzięczny. Proszę mi powiedzieć, kim był mężczyzna zabity w łóżku mojej żony? Pytam jedynie przez ciekawość.

Vallant milczał.

— Rozumiem, że pan się boi. Proszę mnie zrewidować, nie mam przy sobie broni. Gdy skończymy naszą rozmowę, odejdę życząc panu powodzenia.

— Jak się panu udało dotrzeć tutaj?

— Przy pomocy pieniędzy. Wiedziałem paszport, który niedługo będzie gotowy, z pańską fotografią i fałszywym nazwiskiem. Sledziłem Dianę... Wczoraj dowiedziałem się, że pan skrył się w tym domu już owej nocy, kiedy pan zastrzelił Yvonne. Proszę mi opowiedzieć, jak to było!

Dziesięć minut później siedzieli w saloniku i popijali kogniak.

Maurice Vallant postanowił zwierzyć się ze wszystkiego.

— Tak, strzeliłem, zabiłem. Oszalałem. Diana mnie śledziła, lecz przyszła o minutę za późno. Chciała przeszkodzić, że bym nie zrujnował sobie życia. Gdy zauważyła w domu brak pistoletu, zrozumiała, dokąd z nim pośzedłem. Wpadła do tamtego pokoju. Sięgnęła z pistoletem w rękę jak nieprzytomny wpatrując się w oba trupy. Diana odebrała n.j broń, wytarła odciski palców i porzuciła przy zwłokach...

Maurice zamilkł na chwilę.

— I co było dalej? — zapytał François.

— Diana wyjechała z ubrania mężczyzny jego dokumenty i włożyła tam moje...

— A jak się nazywał ten mężczyzna?

— Jean Boulansegne. Był nowym kochankiem Yvonne. Miał twarz zmasakrowaną, z budowy był do mnie podobny. Diana szybko znalazła wyjście z mojej okropnej sytuacji. Zająłem jego miejsce, stałem się trupem.

Następnego dnia moja żona „zidentyfikowała” mnie w prosektorium. Teraz policja szuka Jeana Boulansegne, ponieważ wiadomo, że ostatnio utrzymywała z nim stosunki. Chcą go ukarać za podwójne morderstwo. Czy to nie śmieszne? Szukają trupa, którego już pochowali.

— To rzeczywiście nadzwyczajne! — śmiał się Mautier. — Powinnyście Dianę, jak tylko ją zobaczę. Wspomniała kobietę! I jak pana kocha. Jest pan szczęśliwym człowiekiem, mając taką żonę!

\* \* \*

Diana zatrzymała samochód przy chodniku i rozejrzała się wokół. Nagle przeraziła się. W aucie stojącym o kilka kroków dalej mężczyzna usiłował zapalić motor. Mężczyzną był François Mautier!

Przekleństwo! Wykrzył wszystko! Unieścieł plan tak doskonale, próżne więc były tygodnie cierpień, ostrożności...

Diana wysiadła z samochodu, wzięła torebkę. Wyjechała z niej pistolet i skierowała do wnętrza tamtego samochodu.

W tej samej chwili François odwrócił się, zobaczył pistolet i



Fot. Mikus Karoly

oczy kobiety pełne nienawiści. Rozległ się huk wyrzutu. François przewrócił się martwy...

— Nie, nie! — krzyknął Maurice, wybiegając z domu. — Dlaczego zabiłaś go?

Ktoś zadzwonił do policji, przyjechało autoradio. Diana drżała. Zasłepiała ją nienawiść, jak owej nocy nienawiść zaważadła jej mężem. Lecz teraz nikt już nie mógł jej ocalić... A.S.



## Lewym okiem

### RUCHOME SCHODY ZA BILETAMI?

Na lamach łódzkiej prasy toczy się dyskusja na temat możliwości zniesienia opłat za przejazdy środkami komunikacji miejskiej. Niezmiernie charakterystycznym wydaje mi się przy tym fakt, że wszyscy dyskutanci najwięcej uwagi poświęcają obawom, aby różne obiboki i urodzeni w niedziele nie korzystali z tramwajowej darmochoy i co zrobić żeby im to uniemożliwić.

Kiedy dawno temu jako mały dzieciak jechałem z dziadkiem do Serocka sprzedawać wiśnie, u wjazdu do miasteczka stał jegomość z torbą skórzaną na szyi i inkasował opłatę za wjazd furki na municipalne bruki. Wyłożenie placu ze studnią pośrodku polnymi kamieniami przecież kosztowało, konserwacja tego bruku również. Zresztą przy studni z pompą też siedział miejski funkcjonariusz i pobierał po groszu za każde wiadro wody. Założenie pompy też kosztowało.

Płaciło się kiedyś myto za przejazd każdym większym mostem. Hrabia Mortadella z powieści Makuszyńskiego „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, gdy „zdjęto” ze stanowiska burmistrza, otrzymał na otarcie łez posadę takiego właśnie mytobiorcy przy moście. Warszawskie mosty na Wiśle były przez setki

lat dochodowym przedsiębiorstwem króla jegomości, dzierżawionym różnym królewskim ulubieńcom. We Włoszech dziś jeszcze płaci się bilet za wjazd autem na autostradę, bo autostrada jest prywatnym czymś tam przedsiębiorstwem.

A u nas dzisiaj za to wszystko się nie płaci i nikt się temu nie dziwi. Chodzą po mostach i po rynkach, piją wodę z miejskich studni, zastawieni obywateli i zupełnie nicponie. Mało tego: nie płaci się nic za szkoły wszystkich stopni, a to niezmiernie kosztowna rzecz. Koszty szkolnictwa są chyba — w pojęciu uczestników dyskusji o tramwajach łódzkich — rozłożone całkiem niesprawiedliwie: mianowicie ukryte w podatkach, płaconych przez wszystkich obywateli, a przecież bardzo wielu z nich wcale nie ma dzieci i mieć ich nie będzie. W dodatku ci właśnie płacą większe podatki, co za krzywda!

Któryś z dyskutantów posłużył się przykładem łada windy, która też jest środkiem komunikacji, bardzo kosztownym, a nikt w niej biletów wstępnie nie żąda. Przykład nie całkiem trafny: użytkowanie windy w kalkulowane jest w czynsz lokatorów. Lokatorzy nie jeżdżą więc darmo, natomiast oni właśnie fundują bezpłatne przejażdżki pionowe wszystkim, żadnym tej rozrywki. Oni sami fundują, a nie anonimowy fiskus, nie obrzymia, społeczna, nasza wspólna szkatuła. Ale już na przykład z ruchomymi schodami na warszawskiej Starówce jest inaczej. Tam nikt nie płaci, a gdzie. Piwośze spod kiosków też, i nawet autentyczne rzeźmieszki.

Pomyśl, żeby zakłady pracy ściągaly od pracowników dodatkowe zryczałtowane opłaty za jazdę tramwajami kryje w sobie wszystkie niebezpieczeństwa i brzydkie nawyki biurokracji. Już widzę oczyma wyobraźni ten podział pracowników na kategorie: korzystających z jednego przejazdu, z dwóch, z czterech; z przejazdów prostych i łączonych, zwykłych i pospiesznych; już widzę te legitymacje ze stemplami

i zdjęciami, na każdą linię osobna, na każdy miesiąc inna, z dziurkowaną datą, firmą, „tam” i „z powrotem”; tych urzędników zaważonych rozliczeniami, planowaniem, statystyką i koncepcją. No i po co to wszystko? Ze strachu przed chuliganem, przed jego przestępczą, gratisową jazdą? Czyż nie prościej przynieść komunikację miejską — a w przyszłości zapewne każdą komunikację osobową — ze sfery dochodu konsumowanego indywidualnie do sfery dochodu konsumowanego społecznie? Inaczej mówiąc: potraktować komunikację miejską tak samo jak miejskie bruki, miejskie oświetlenie, miejskie parki i zieleńce, państwowe szkolnictwo, drogi, mosty, służbę bezpieczeństwa wewnętrznego i służbę obrony granic (wojsko!)?

Być może sprawa nie dojrzała jeszcze do takiego rozwiązania. Jeżeli nie dojrzała, jeżeli muszą być pobierane opłaty indywidualne, które zresztą jak słyszemy — pokrywają i tak zaledwie część kosztów całej organizacji: przewozu osób w Łodzi, niechże chociaż do pobierania opłat będzie proste, jak branie po groszu za wiadro wody. Bez tych zawitych korowodów z biletami miesięcznymi, z ich niezmiernie pracochłonnym specyfikowaniem na linie, kierunki jazdy, miesiące, z ich stemplowaniem i w ogóle z całym urządzeniem, zatrudniającym tysiące osób. To są czynności uboczne tych osób (we wszystkich zakładach pracy), dlatego ich się nie przelicza na złotówki. Ale one są, muszą być wykonane kosztem innych czynności. Czy to wszystko musi być?

Jeżdżymy tramwajami wtedy, kiedy musimy. Nigdy nie będziemy jeździć na złość komuś. Od tej strony należałoby spojrzeć na sprawę i nie lękać się śmiałych decyzji. A zresztą — mam prawo nie być specjalistą, a powiedzieć co myślę. Co niniejszym uczyniłem —

CWIEK